NR 5

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(Mat xviii, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(Św. Franciszek Salezy).



Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku, dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św. Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

Nowenna i uroczystość Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.

(24go maja).

W *sobotę* 15go b. m. rozpocznie się dziewięciodniowe nabożeństwo jako przygotowanie do uroczystości najmiłościwszej Matki i Opiekunki naszej, **Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki,** w świątyni, na Jej cześć przez X. Bosko wystawionej w Turynie.

Codziennie od godziny 4 ½ — 11 przed południem będą się odprawiały Msze św. i dana będzie sposobność przystąpienia do Sakramentów Spowiedzi i Komunii św. O godzinie 6ej i 7ej rano chłopcy z **Oratoryum** odmawiać będą w czasie Mszy św. różaniec i inne modlitwy, zaczem nastąpi krótkie kazanie i udzieli się błogosławieństwa **Najśw. Sakramentu.**

W *sobotę* 22go maja o godzinie 3 ½ po południu odbędzie się *konferencya* dla **Pomocników** salezyańskich, po niej zaś uroczyste błogosławieństwo **Najśw. Sakramentu.**

W *poniedziałek* 24go maja **Uroczystość Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.** Rano o zwykłych godzinach Msze św., modlitwy, różaniec i t. d. O 10 ½ suma, w czasie której chór wykona *Missam Beatae Mariae Virginis* maestra Piotra Bianchini. Wieczorem o 6ej nieszpory, kazanie i błogosławieństwo Najśw. Sakramentu.

We *wtorek* 25go maja o 5 ½ i 7 ½ rano Msze święte, komunia ogólna i modlitwy o spokój dusz zmarłych **Pomocników** i **Pomocnic** salezyańskich, jak również **Braci** i **Sióstr Arcybractwa** Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.

OSTATNIE MISYE
X. BISKUPA
ALOJZEGO LASAGNA.

Misye w stanie brazylijskim Mato Grosso.

(Ciąg dalszy).

III.

Na rzece *Paraguay*. — Krokodyle amerykańskie. — Pływające wyspy. — Stolica Paraguayu.

Dnia 16go maja po odprawieniu Mszy św., jak zwykle w kajucie, wybiegliśmy na pokład, aby podziwiać piękność rzeki *Paraguay*, na falach której płynęliśmy już od dziesięciu godzin.

Przed oczyma naszemi roztaczał się w miarę posuwania się w górę rzeki coraz piękniejszy i bardziej malowniczy krajobraz. Chociaż na lewym brzegu ciągnie się jeszcze nizina płaska i bagnista *Czako* argentyńskiego, to przeciwnie na prawym rozpościera się już żyzny, pokryty zielenią i ozdobiony kwieciem grunt paraguayskiej rzeczypospolitej. W oddali na krańcu widnokręgu zarysowują się wspaniałe górskie łańcuchy i zielone wzgórza, strojne w bogatą i nader bujną roślinność.

Koryto rzeki zwęża się stopniowo, woda staje się coraz bardziej przezroczystą, pod drzewami zaś rosnącemi pochyło na obydwóch brzegach dostrzegamy od czasu do czasu potworny kształt krokodyla, wychylającego się to tu, to tam na powierzchnią wody, aby się wygrzewać na słońcu, a zwanego tutaj *jacarè*. Leży on zwykle nieruchomo z szeroko rozwartemi ślepiami, jakby wykuty był z granitu. Z pokładu lecą nań jak grad kule, lecz jeżeli go nie ugodzą w więcej dotkliwe miejsce, potwór się nie rusza, nie drgnie na nim ani jeden członek i wyciągnięty patrzy dalej przed siebie spokojnie w tejsamej głupio-wstrętnej postawie co przedtem. Łuska, pokrywająca jego ciało, jest tak twardą, że kule odbijają się od niej, najmniejszej nie zadając rany. Jaki taki wytrzymawszy nieporuszenie całą salwę karabinową, dźwiga wreszcie leniwie swoje cielsko na wszystkie cztery i staczając się ruchem powolnym i niezgrabnym z brzegu w rzekę, zanurza się w wodzie.

Wogóle wszystkie południowo-amerykańskie rzeki i ich dopływy obfitują w krokodyle, im bardziej zaś posuwamy się ku równikowi, tem więcej ich napotykamy, tak iż rzec można, że zapełniają one całkowicie łożyska rzek, potoków, oraz sąsiednich bagien.

Jedni tylko Indyanie odnoszą z nich pożytek, polując na nie wtedy, gdy wszelkiej innej zabraknie im zwierzyny. Nie wahają się bowiem spożywać szkaradne i cuchnące mięso tych potworów.

Obecność strasznych tych stworzeń czyni kąpiel w rzekach bardzo niebezpieczną, często się bowiem zdarza, że krokodyl napada niespodzianie na kąpiących się, porywa ich na dno rzeki, a następnie pożera.

Kapitan Nocetti opowiadał, że przed kilkoma laty miał na swym statku, jako chłopca okrętowego, syna jednego z najlepszych swych przyjaciół. Jednego dnia w samo południe, podczas największego skwaru, nierozsądny ten chłopak korzystając z chwili, w której parowiec dla braku wiatru zatrzymał się na czas pewien w pośrodku rzeki, postanowił się wykąpać i rozebrawszy się spiesznie, zbiegł na dół po drabinie i skoczył do wody. Zaledwie jednak zanurzył się nieco, wydał nagle przeraźliwy krzyk; gdy nadbiegli marynarze, ujrzeli go wijącego się kurczowo w paszczy olbrzymiego krokodyla. Kapitan strzelił wprawdzie parę razy z karabina i rzeczywiście ugodził śmiertelnie krokodyla, ale, niestety, zarazem i młodzieńca. „Przynajmniej“ — tak zakończył opowiadanie — „spoczął w ziemi.“ — Co prawda, niewielka to pociecha dla rodziców stroskanych.

Prąd wody unosi ciągle ze sobą na środek rzeki rozmaite wodne rośliny o szerokich liściach, które niekiedy łączą się ze sobą w tak zbitą masę, że tworzą prawdziwie pływające wyspy. Złudzenie pod tym względem jest tak zupełne, że widząc je płynące mimo statku, szukałem na nich mimowoli wzrokiem gazelli lub królika.

Żywo mi bowiem wówczas stanął w pamięci malowniczy, znakomicie oddany i niejako przed oczami widzów i słuchaczy przedstawiony obraz podobnych zjawisk, jaki swojego czasu w nauki i kazania, miane dla młodzieży, wplatać lubił i umiał nieoceniony X. Belasio. Są to rzeczy, które chłopcem będąc słyszałem był przeszło 20 lat temu w kolegium naszem w Mirabello, a których tak prędko nie zapomnę. Zdaje mi się, jak

gdybym go widział przed sobą, zacnego staruszka, kiedy wychylając się z ambony, gestem i wzrokiem, naginaniem głosu, odpowiednimi ruchami i miną, naśladował niebacznego królika, unoszonego prądem na kwiecistej łączce. Najprzód podnosi pyszczek, jeży oba słuchy, nie zdając jeszcze sobie należycie sprawy z położenia, bojąc się jednak ugrząznąć na ruchomym, chwiejącym się gruncie; powoli staje się śmielszym, tem więcej widząc tuż przy sobie i na około siebie tyle smacznej trawki, ostatecznie zaczyna sobie podobać w tym zaklętym raju, skąd spogląda na mijające go coraz to inne krajobrazy, równiny i laski, aż naraz wśród złotych snów pochłania go toń nieubłagana. Jaki to wierny obraz życia bezmyślnego i smutnego końca tylu młodzieży, którzy podobnież dają się zwabić ułudom zdradliwego świata!

Rzeki *Paraguay* i *Parana* tworzą również mnóstwo, i to dość znacznych, napływowych wysepek, które niedługo po swem utworzeniu, w przeciągu lat niewielu bujną pokrywają się roślinnością. Atoli podczas gwałtownych powodzi, prąd wody nieraz je rozbija, unosząc rozmuloną ziemię, tudzież gromadząc olbrzymie pnie i kłody drzew, jak niemniej pęki roślin i krzewów; z nich nowe tworzy wysepki. Z tego więc powodu geografowie nigdy nie mogą oznaczyć dokładnie istotnego koryta tych rzek, które ustawicznie kręcąc się i plątając, zmieniają co chwila formę i głębokość swojego łożyska. Wskutek tego każdy parowiec, zmuszony żeglować po tych wodach, musi brać ze sobą wytrawnego przewodnika, który dzięki nietyle teoretycznej wiedzy, ile raczej doświadczeniu i wprawie, umie rozpoznać, a nawet odgadnąć na pierwszy rzut oka wszystkie kaprysy, niespodzianki i zasadzki tych tak zmiennych i gwałtownych prądów wodnych.

Podczas naszej podróży statek zatrzymał się na kilka godzin w pierwszej paraguayskiej wiosce Humaità, a następnie w Villa del Pilar, gdzie obecnie proboszczem jest Don Tommaso BERTINETTI, były profesor naszego *Collegio Pio*. Wysłałem stamtąd telegramy do prezydenta paraguayskiej rzeczypospolitej, pana GONZALEZ'a, tudzież do Wielebnego Administratora dyecezalnego, Don ARRUA.

Lewy brzeg rzeki należy jeszcze do Argentyny, która go zdobyła podczas pamiętnej wojny, jaką Paraguay zmuszony był toczyć od 1864 — 1870 r. z Argentyną, Brazylią i Uruguayem. Była to prawdziwa walka eksterminacyjna, okropny i barbarzyński rozlew krwi, gdyż ówczesny prezydent, Francisco Solano LOPEZ, przezwany słusznie tyranem paraguayskim, wysyłał na wojnę, jakby na rzeź, wszystkich nieszczęśliwych swych poddanych, zdolnych do noszenia broni. Paraguajczycy dali dowody niezwykłego męstwa, graniczącego z bohaterstwem, lecz wszystko napróżno. Po sześciu latach rozpaczliwej, tytanicznej walki, sprzymierzeńcy zadali cios stanowczy biednemu Paraguay, wyniszczonemu i do ostatniej przyprowadzonemu nędzy.

Korzystając ze zwycięztwa, Brazylia posunęła swe granice do *Rio Apa*, Argentyna zaś zapuściła swe zagony do *Pilcomajo*, przywłaszczając sobie tak zwane terytoryum misyjne z tej strony *Parany*. Żeby mieć pojęcie, z jaką zażartością prowadzono tę wojnę i jak opłakane są jej następstwa, dość jest wiedzieć, że Paraguay liczy obecnie (prócz dzieci) zaledwie 28,000 mężczyzn na 400 tysięcy przeszło kobiet!! Tylu ich zmiotły kule i głód.

Przy ujściu rzeki *Pilcomajo* znajduje się argentyńska warownia z niewielką załogą. Całe olbrzymie terytoryum, ciągnące się od *Santa Fe* aż do prowincyi Santiago dell'Estero i Salta, jest niskie, bagniste, niezdrowe i prawie zupełnie bezludne. W kilku jedynie miejscach, leżących nieco wyżej, istnieją kolonialne przedsiębiorstwa, używające swych kapitałów i kilku tysięcy rolniczych rąk do uprawy trzciny cukrowej i utrzymywania niezbędnych rafineryi. Ponieważ niewielka stosunkowo przestrzeń dzieli *Pilcomajo* od Asuncion, stolicy rzeczypospolitej, po krótkiej więc i dość przyjemnej podróży przybyliśmy tam dnia 17 maja o pierwszej godzinie popołudniu, w dziewięć dni po wyjeździe z Montevideo.

Nie będę tu opisywał ni przyjęcia, jakie mi tam zgotowano, ni prac, jakie rozpocząłem, nie powiem także nic o planach na przyszłość, gdyż o tem wszystkiem wspominałem już był w ostatnim mym liście, który skreśliłem na prędce a wysłałem z pospiechem. Tem więcej, że niezadługo będę musiał wrócić, aby odwiedzić Indyan w *Czako*, przebiedz wzdłuż całą tę rzeczpospolitą, poznać bliżej dzikie plemiona Indyan *Kainguà*, dotrzeć do górnego biegu rzeki *Paranà*, przedrzeć się następnie przez gęstwiny terytoryum t. z. *misyjnego*, stanąć nad górnym biegiem *Rio Uruguay*, na którym wreszcie myślę spuścić się do Paysandù, stamtąd zaś z powrotem do Montevideo.

Muszę bowiem sobie koniecznie wyrobić jasny i dokładny obraz potrzeb, ale i nie-

bezpieczeństw, jakie mogą grozić naszym misyom, by módz zawczasu obmyśleć środki zaradcze, które się będą wydawały jako najodpowiedniejsze, by zapewnić pomyślny wynik przedsięwzięcia.

Droga, która mnie czeka, jest wprawdzie długą, nad wyraz uciążliwą i wszelkiemi przeszkodami najeżoną, lecz rzecz jest wielkiej dla nas wagi, a mam ufność w Najśw. Pannie Wspomożycielce, że mi dopomoże odbyć podróż szczęśliwie i w ten sposób naznaczyć nowe szlaki, po których się mają puścić drodzy misyonarze naszego Zgromadzenia.

Ty zaś, młodzieży wybrana, w której piersi tli święty zapał poświęcenia, wy wszyscy, którzy się od Pana Boga czujecie powołani do wzniosłej, choć trudnej pracy około zbawienia dusz i rozszerzania królestwa Chrystusowego na tej ziemi, skierujcie tutaj wasz wzrok, zwróćcie tutaj wasze kroki! Zaprawdę, tutaj was nie minie bogaty plon, złożony z poświęcenia i ofiar, ale i świętych tryumfów; z cierni, ale także pociech niebieskich; tu czeka was niechybnie zwycięski wieniec, lub palma męczeństwa. Oto nowy widnokrąg, jaki się otwiera przed nieustraszonymi apostołami dzikich, od wieków opuszczonych Indyan; oto nowe, dotąd nieodkryte światy, które szeroko rozwierają swe wrota przed wysłannikami, niosącymi chrześcijańskie uobyczajenie, przed bohaterami Ewangelii św. Także o was śpiewać będą teraźniejsze i przyszłe pokolenia: *O quam speciosi pedes evangelizantium pacem, evangelizantium bona!* (Jakie śliczne nogi opowiadających pokój, opowiadających dobra!) Rom. x, 15.

IV.

Brzegi *Paraguayu*. — W podrównikowej strefie. — Biedni Indyanie z Czako. — Corumbà, rywalka stolicy prowincyi Mato Grosso.

Na pokładzie parowca „*Diamantino*" przybyli dnia 4 czerwca do Paraguay nasi współbracia: Don SOLARI, Don Artur CASTELLS, kleryk COLLI i Jan Chrzciciel RUFFIER ze swym przełożonym, czcigodnym X. Antonim MALAN, na czele. Byli to pierwsi misyonarze salezyańscy, wyznaczeni na rozpoczęcie trudnych i niebezpiecznych misyi w prowincyi Mato Grosso. Pragnęliśmy bowiem rozpocząć działalność apostolską od tego właśnie odległego punktu, jako leżącego w samym środku Ameryki Południowej. Nadto ze względu na swe położenie wpośród dzikich plemion, zakątek ten wydawał nam się najbardziej odpowiednim do zorganizowania energicznej akcyi, mającej na celu nawrócenie krajowców.

Przyłączyłem się więc do mych współbraci i wsiadłem wraz z nimi na parowiec brazylijski, „*Diamantino*," który rano dnia 6 czerwca podniósł kotwicę, aby na nowo pruć spokojne fale *Rio del Paraguay*. Przybyłem na pokład w towarzystwie Ministra oświaty i wyznań, Administratora dyecezalnego, Rektora seminaryum, synów argentyńskiego ambasadora, kilku zacnych kapłanów, prezydenta Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, p. SAMBONINI'ego, oraz wielu innych przyjaciół. Orszak ich byłby nawet daleko liczniejszym, gdyby jednocześnie nie odprawiało się w mieście uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Ryszarda GARCIA, ambasadora argentyńskiej rzeczypospolitej, zmarłego na mojem ręku w dniu poprzedzającym, po otrzymaniu ostatnich pociech świętej naszej wiary.

To że ponownie znalazłem się w gronie drogich współbraci, przepełniało me serce niewymownem szczęściem. Wszyscy, ilu nas się zgromadziło na statku, dziękowaliśmy Wszechmogącemu Bogu za przyczyną Panny Najświętszej Wspomożycielki za tak wielką i widoczną Opiekę, jaką nas dotąd zawsze i ciągle, nas i przedsięwzięcia nasze, otaczać raczył. Także na statku „*Diamantino*" mogliśmy codziennie w małej kajucie odprawiać Mszę św., w niedziele zaś i uroczystości kościelne, odprawialiśmy ją dla wygody innych pasażerów w obszernym salonie, uświetniając o ile możności nabożeństwo za pomocą śpiewu i muzyki. Nie napróżno X. SOLARI wiózł ze sobą małe harmonium, które niezadługo stanie się bez wątpienia rozkoszą biednych dzikich.

Stopniowo nieznośne podrównikowe gorąco coraz bardziej dawało nam się uczuwać, znajdowaliśmy się bowiem pod 24° szerokości południowej, nazajutrz zaś mieliśmy już przekroczyć linię graniczną podrównikowej strefy. Na prawo widzieliśmy ciągle jeszcze przed sobą malowniczy brzeg paraguajski z mnóstwem gór i pagórków, porośniętych olbrzymiemi drzewami, których gałęzie zdawały się uginać za każdym powiewem wiatru pod ciężarem rozmaitych *lian* i różnorodnych pasożytnych roślin o przepysznych jaskrawych kwiatach.

Tu i owdzie gromadnie lub osobno szybowały w powietrzu śliczne ptaki rozmaitego gatunku, barwy i wielkości, na ciemno-zielonem zaś tle lasów zarysowywały się wyraźnie sylwetki łabędzi, czapel i innego wodnego ptactwa.

Od czasu do czasu ukazywały się również w cieniu palm i bananów ubogie chatki pasterzy i wieśniaków, żyjących tam w wiecznem osamotnieniu. Biedni ludzie! Nawet w razie największej, najbardziej naglącej potrzeby, pozostawieni są własnym siłom, ileż bowiem czasu musieliby poświęcić, aby dopłynąć na wątłych łodziach do najbliższego miasta. Dotrzeć zaś tam drogą lądową, jest istotnem niepodobieństwem, niema bowiem ani dróg w niedostępnych prawie lasach, ani mostów nad licznymi i bystrymi potokami, zlewającymi swe wody do łożyska *Paraguaju*.

Na przeciwległym, to jest lewym brzegu, ciągnął się nieprzerwanie płaski i bagnisty obszar posępnego terytoryum *Czako*, zaludniony niemal wyłącznie przez koczowniczych Indyan, którzy podczas wielkich powodzi cofają się do podnóża wyniosłych gór w Boliwii. Na całej niemal przestrzeni tego odosobnionego od świata zakątka rosną nieprzebyte lasy, w których obok palm i cedrów napotyka się *chebracho*, *jacarandà* i wiele innych drzew bardzo w handlu cenionych.

Kiedyśmy przebywali te okolice, wody rzek cofnęły się już zupełnie do swych łożysk i dzięki temu biedni Indyanie zaczynali zbliżać się do brzegów, tak że przed przybyciem do miejsca swego przeznaczenia mogliśmy już dobrze im się przypatrzyć i utworzyć sobie dokładne pojęcie o tych nieszczęśliwych, mających być głównym przedmiotem duszpasterskiej naszej pieczy.

Rzeczywiście zaledwie rano dnia 7 czerwca zarzuciliśmy kotwicę w Villa Concepcion, gdy parowiec nasz otoczyły dokoła łodzie zapełnione Indyanami, którzy nas prosili bez ceremonii o suchary, tytoń i inne rzeczy, wielką w oczach tych biedaków posiadające wartość. Wszyscy byli zupełnie prawie nadzy, niektórzy zaś mieli ciało pomalowane w lśniące czarne i czerwone pręgi.

Villa Concepcion stanowi punkt zborny dla Indyan z całego *Czako*; tutaj przynoszą oni zwykle skóry tygrysów i innych dzikich zwierząt, aby je zamienić na sól, której tak bardzo potrzebują, lub na wódkę, którą chciwie nader piją. Z powrotem myślę się tu zatrzymać z jakie 5 albo 6 dni, ażeby się nieco bliżej zapoznać z tymi biedakami, do których niebawem urządzę wycieczkę misyonarską.

Po trzydniowej żegludze, dnia 10 czerwca wieczorem przybyliśmy do Corumbà. W miarę posuwania się coraz dalej, upał stawał się nieznośniejszym, moskity dokuczały nam nielitościwie, a w dodatku okropne dręczyło nas pragnienie.

W oddali rysowały się kontury jakichś gór, mgliste i niewyraźne, dokoła nas ciągnęły się nieprzerwanie bagna, moczary i lasy bez końca, zapadające się w kałuże stojącej wody. W kilku punktach znaleźliśmy miejscowości wzniesione po nad ogólny poziom otaczającego gruntu. Mieszka tam kilkuset Indyan i białych, zatrudnionych ścinaniem odwiecznych drzew i ciosaniem ogromnych belek, które następnie ładują na parowce i wywożą do Buenos-Ayres, Montevideo, a nawet Europy.

Jednym z takich zakątków jest port Casado, nazwany tak od nazwiska swego założyciela, bogatego Hiszpana, który nabył w *Czako* obszar gruntu, większy może niż całe Włochy. Na cóż mu się jednakże przyda, kiedy ten, prawie cały jaki jest, nie może być zamieszkany?

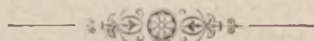
Znaleźliśmy także na naszej drodze port Pacheco, czyli Bahia-Negra, przezwany paraguajską Syberyą, nie z powodu zimna, bo panuje tam owszem podrównikowy upał, ale dlatego, iż służy za miejsce wygnania dla niepoprawnych pijaków, złoczyńców rozmaitego rodzaju, słowem jednostek szkodliwych dla społeczeństwa.

Ponieważ port ten leży tuż nad granicą brazylijską, zatem posiada załogę wojskową, której zadaniem jest także pilnować skazańców. Tu właśnie dotarł był czasu swego (r. 1892) nasz nieodżałowany X. Angelo Savio w czasie śmiałej swej wycieczki misyonarskiej w tutajsze strony, o czem zresztą pisał był *Bollettino salesiano* w zeszycie październikowym 1892 r.

Widok tych nieszczęśliwych istot, mężczyzn i kobiet na pół zbydlęconych, jak również podobnych im Indyan, prawie całkiem nagich, w ciągłem towarzystwie bezwstydnego żołdactwa, przejął mnie niewymowną boleścią. Żyjąc tu sami wśród lasów, bez kościoła, bez kapłana i Sakramentów, bez żadnego hamulca, czyż można się dziwić, że prowadzą życie, nie różniące się w niczem od życia dzikich zwierząt?

Jakkolwiek Corumbà jest i co do liczby ludności i co do swego znaczenia drugiem miastem w prowincyi Mato Grosso, a nawet współzawodniczy z samą Cuyabà, jest to po prostu miasteczko nieco większe od europejskich, liczy bowiem najwyżej 3,000 mieszkańców, oprócz załogi.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





X. ALOJZY LASAGNA

BISKUP TRIPOLITAŃSKI I. P. I.

Przełożony misyi salezyańskich w Uruguay i Brazylii

* 1850 † 1895.

KRÓTKI ŻYCIORYS

X. Biskupa ALOJZEGO LASAGNA.



Ksiądz Biskup Alojzy Lasagna urodził się 3 marca 1850 r. w Montemagno, wcale znacznej mieścinie, położonej w tej części Piemontu, która się zowie Monferrato, gdzie go jako 12-letniego chłopczyka po raz pierwszy spotkał X. Bosko, gdy ze swoimi wychowankami przybył tamże w r. 1863. Poznawszy go bliżej, a może przewidując jego przyszłość, świątobliwy mąż zabrał go ze sobą do **Oratoryum** do Turynu, gdzie nasz Alojzy w gronie licznych rówienników od razu odznaczył się zdolnościami, pilnością i dobrem prowadzeniem się. Roku 1872 otrzymał stopień doktora na wydziale literackim uniwersytetu turyńskiego, w rok później zaś otrzymał święcenia kapłańskie. X. Bosko przeznaczył żywego będącego usposobienia, gorliwego i niezwykle uzdolnionego kapłana na nauczyciela nasamprzód w gimnazyum salezyańskiem w Lanzo, a następnie w takiemże liceum w Alassio. Na jednej i drugiej posadzie umiał sobie X. Lasagna zjednać miłość i szacunek u uczniów, a zaufanie u przełożonych. Zawód nauczycielski jednakże, lubo tyle wzniosły i tak wielkiej wagi w życiu społecznem, nie miał być wyłącznem zadaniem, jakiemu się miał oddawać i jakie mu przeznaczyła Opatrzność: X. Bosko bowiem, bacząc na jego gorliwość w pracy o zbawienie dusz i niezwykłe zdolności krasomówcze, mianował go przełożonym pierwszych misyonarzy salezyańskich, wysłanych do rzeczypospolitej Uruguay w Ameryce południowej.

R. 1876 wyruszył do Ameryki z zapałem prawdziwego apostoła i przebywszy szczęśliwie straszliwą burzę morską, wylądował w porcie stołecznego miasta Uruguayu, Montevideo, w pobliżu którego, w Villa Colon, założył zaraz kolegium katolickie, pierwsze, jakie istniało na obszarze całej rzeczypospolitej, które niezadługo świetne zaczęło przynosić owoce, gdyż wyszło z niego wielu znakomitych lekarzy, adwokatów, uczonych, słowem, powag naukowych i znakomitości Uruguayu.

Przyczynił się dalej znacznie do wydawania dziennika katolickiego *El bien público* (Dobro ogółu), którego był przez wiele lat niezmordowanym współpracownikiem, zwalczając teorye pozytywistów i materyalistów amerykańskich, rozsiewane z katedr i przez książki.

Artykuły jego, umieszczane w *El bien público*, cieszyły się gorącem uznaniem całego dziennikarstwa katolickiego i wyszły w wydaniu zbiorowem za staraniem jego pierwszych wychowanków.

W Montevideo ułożył ustawy dla różnych stowarzyszeń katolickich, które w krótkim przeciągu czasu rozwinęły się w 15 kółek, między niemi *Związek robotników katolickich*, który dziś jeszcze znajduje się w stanie kwitnącym i wielu liczy członków. Powołał również do życia *kaplice świąteczne*; ustawy tychże zatwierdził X. Biskup z Montevideo i w osobnym liście pasterskim zalecił wszystkim kapłanom i wiernym swojej dyecezyi. Rozszerzał również, gdzie tylko mógł, konferencye św. Wincentego a Paulo.

Ożywiony niezachwianą ufnością w Opatrzność Boską, założył *schronisko* męskie w Las Piedras, dom dla **Sióstr P. Maryi Wspomożycielki** celem wychowywania dziewcząt w Villa Colon i Las Piedras, w ogólności wiele wystawił szkół bezpłatnych dla dzieci i młodzieży obojga płci w różnych stronach rzeczypospolitej uruguajskiej, a szczególnie w Paysandù, w którem to mieście objął równocześnie w zarząd obszerną nadzwyczaj parafię i to w czasie, kiedy śmiałość tę mógł przypłacić życiem, tak on jak i wszyscy inni Salezyanie, których w niej osadził.

Na tem nie poprzestając, wysyłał od czasu do czasu misyonarzy na stepy (*Pampas*) dla nawracania *Gauczów* (na pół dzikich pastuchów), tudzież dzikich, tubylczych Indyan, włóczących się ustawicznie po niezmierzonych włościach rzeczypospolitej, przyczem wszystkiem nie zapomniał o licznych, tamże rozrzuconych osadach Europejczyków, którym dostarczył i ułatwił sposobność do zadosyćuczynienia obowiązkom religijnym.

W r. 1881 założył kilka obserwatoryów meteorologicznych. Najgłówniejsze z tych znajduje się w Villa Colon, w *kolegium Piusa*, nazwanem tak na cześć Ojca świętego, PIUSA IX, któremu X. Lasagna przed wyjazdem na misye na ostatniem posłuchaniu, łaskawie mu przez wielkiego Papieża udzielonem, przyrzekł był, że pierwsze kolegium, jakie w Ameryce założy, nosić będzie jego imię. Obserwatoryum to od chwili założenia weszło w korespondencyę ze sławnym astronomem, Barnabitą O. DENZA, a studya i spostrzeżenia, jakich dostarczyło o zjawiskach meteorologicznych i klimatycznych tamtejszych stron, znalazły powszechnie uznanie i nader były od uczonych cenione.

Uroczystości zagajenia powyższego obserwatoryum przewodniczył X. Biskup Maryusz MOCENNI, obecnie kardynał, w czasie gdy udawał się jako internuncyusz papieski do Brazylii i chwilowo do Villa Colon był zawitał. X. Alojzy Lasagna, złączony węzłami długoletniej przyjaźni z Msgr. Mocenni, życzył sobie i postarał się o to, by tenże przewodniczył inauguracyi.

Ostatnie jego listy, ogłoszone w *Bollettino Salesiano*, okazują nam, jak bardzo się zasłużył i przyczynił do rozwoju rolnictwa i nauk przyrodniczych w różnych stronach Ameryki południowej. Wszystkiem,

co tylko wyjść mogło na korzyść duchową lub materyalną tamtejszych mieszkańców, zajmował się z zapałem, do wszystkiego przykładał czynną rękę, a dodać możemy, iż za łaską Bożą usiłowania jego pod każdym względem zawsze były uwieńczone pomyślnym skutkiem.

W tymże samym roku 1881, X. Bosko widząc wydatne i nader pomyślne wyniki jego prac apostolskich w rzeczypospolitej Uruguay, a wogóle niezmordowaną jego gorliwość o zbawienie dusz, powierzył mu także misye w Brazylii; zaczem począwszy od owego roku X. Lasagna przebiegał miasta i główniejsze prowincye wschodnie tego kraju, zapuszczając się na północ aż do brzegów *Amazonki*, i założył domy salezyańskie w Nictheroy przy Rio Janeiro, w S. Paolo i w Lorena.

Wezwawszy z Turynu na pomoc **Zakonnice P. Maryi Wspomożenia Wiernych,** rozpoczął w owej rozległej republice zakładać *schroniska* i *kaplice świąteczne* dla dziewcząt.

Niezmordowanej jego działalności zawdzięczają powstanie oprócz wyżej już wspomnianych domów w Villa Colon, Las Piedras, Paysandu (w *Uruguay*), S. Paolo, Nictheroy i Lorena (w *Brazylii*), nadto zakłady: w Montevideo, Canelones i Mercedes (w *Uruguay*), Guaratinguetà, Pindamonhangaba, Araras i Cuyaba (w *Brazylii*), gdzie otrzymują chrześcijańskie wychowanie setki chłopców i dziewcząt.

Czyniąc zadość życzeniom ukochanego naszego Założyciela i Ojca, księdza Bosko, otworzył w rozległej swej *inspektoryi* (czyli *prowincyi*) dwa małe Seminarya, celem przygotowania do stanu duchownego takich młodzieniaszków, którzyby do tego szczególniejsze okazywali powołanie, pragnąc w ten sposób przygotować stosowny personal dla nawracania dzikich. Wysiłki jego w tym względzie nie poszły na marne: dwa te domy salezyańskie wydały już kilkudziesięciu kapłanów krajowców. To samo uczyniły za jego staraniem **Siostry P. Maryi Wspomożycielki,** by zaopatrzyć w odpowiedni personal tak swe żeńskie zakłady wychowawcze, jak również domy misyjne. Z tych właśnie zakładów wyszedł X. VILLAAMIL i siostry BRAGA i SARMENTO, które razem ze swym mistrzem padły ofiarą katastrofy kolejowej (w listopadzie r. 1895).

Głęboko o tem przekonany, że kapłan katolicki na jakiembądź polu działania wiele i głębokiej potrzebuje wiedzy, wysłał do stolicy chrześcijaństwa, Rzymu, kilku młodych kleryków na studya filozoficzne i teologiczne. Obecnie kilku z nich uczęszcza jeszcze na kursa teologiczne i filozofii na uniwersytecie gregoryańskim.

Wprowadzając w czyn tyle obiecujących dzieł, przemyśliwał równocześnie nad rozpoczęciem misyi, mających na celu ucywilizowanie i nawrócenie dzikich szczepów Indyan w Paraguay, w Mato Grosso i w stanie San Paolo.

Działalność jego rozciągała się prócz tego na wychodźców włoskich, których liczba w tych krajach dochodzi do pół trzecia miliona. W czasie częstych wycieczek apostolskich, do nich urządzanych,

umiał sobie ogółem wziąwszy pozyskać uznanie i miłość przebywających tamże rodaków, którzy powszechnie uważali go za ojca.

Prócz języków starożytnych, greckiego i łacińskiego, tudzież ojczystego, umiał nadto i władał doskonale językiem portugalskim, hiszpańskim, francuskim i angielskim, a dla swej rozległej wiedzy i nadzwyczajnej roztropności wielce był poważanym od prezydentów i ministrów różnych rzeczypospolitych południowo-amerykańskich, od których w danych okolicznościach potrafił otrzymać daleko sięgające przywileje i władze, jakichby się nikt nie spodziewał.

W grudniu 1886 r., gdy X. Lasagna po raz przedostatni udawał się do Ameryki południowej z licznym zastępem misyonarzy, X. Bosko przed samym odjazdem posłał mu pięknie wyrobioną szkatułkę, mówiąc tylko: „*to dla księdza Lasagna.*“ On ją przyjął nie otwierając i, z pospiechem gotując się do podróży, włożył ją wraz z innemi rzeczami do kufra. Po śmierci księdza Bosko porządkując pewnego dnia pamiątki, jakie po nim posiadał, napotkał także ową szkatułkę, którą otworzywszy znalazł w niej łańcuch złoty z kartą wizytową pewnego Pomocnika salezyańskiego, na której z jednej strony było napisane: „*z wdzięczności dla Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki za otrzymaną łaskę;*“ po drugiej zaś stronie: „*dla drugiego biskupa salezyańskiego.*“ Łańcuch ten biskupi w samej rzeczy jemu się dostał.

Przybywszy do Włoch przy końcu r. 1892, by zabrać ze sobą nowe posiłki misyonarzy i otrzymać błogosławieństwo Ojca św. dla swych śmiałych i daleko idących przedsięwzięć, Jego Świątobliwość, Ojciec św. Leon XIII wyniósł go do godności biskupiej. Otrzymał sakrę w Rzymie, w kościele salezyańskim Najsłodszego Serca Jezusowego na *Castro Pretorio*, z rąk Jego Eminencyi kardynała Parocchi, naszego łaskawego Protektora, dnia 12 marca 1893 r., w obecności wielu pielgrzymów z Uruguay, Paraguay i Brazylii.

Niespełna w miesiąc potem (3go kwietnia) wyjechał z powrotem do Brazylii, wiodąc ze sobą 30 misyonarzy salezyańskich.

Opatrzność Boska w niezbadanych wyrokach swoich postanowiła, żeśmy go więcej nie mieli zobaczyć.

Niepodobna nam streścić pokrótce wszystkich dzieł, jakich dokonał w ciągu swojego krótkiego życia, zwłaszcza w ostatnich dwóch tegoż latach.

Powiemy tylko, że udało mu się szczęśliwie zagaić misye wśród dzikich *Coroados* (w stanie brazylijskim Mato Grosso), których rząd brazylijski krótko przedtem całkiem był zamierzał wytępić, jak również, że podobne misye przygotowywał dla plemion indyjskich rzeczypospolitej paraguayskiej. Niestety, nieubłagana śmierć wyrwała go z pośród nas w kwiecie wieku, gdyż liczył zaledwie 45 lat życia. Uchylmy czoła przed wyrokami Opatrzności Boskiej.

KATASTROFA KOLEJOWA

KTÓREJ OFIARĄ PADŁ

X. Biskup ALOJZY LASAGNA.

(6go listopada 1895 r.).

Zderzenie się.



Ukończywszy w pierwszych dniach listopada 1895 r. z nader pocieszającym wynikiem misye w mieście brazylijskiem Guaratinguetà puścił się X. Biskup Lasagna dnia 5go tegoż miesiąca na nowo w podróż, tym razem wyłącznie w sprawach swego Zgromadzenia. Towarzyszyli mu: jego sekretarz, X. Bernardyn Villaamil (pochodzący z rzeczypospolitej Uruguay), X. Dominik Albanello i X. Dominik Zatti (z pochodzenia Włosi), katechista kleryk Bruckhauser (rodem Brazylijczyk), dwóch *koadjutorów* czyli braciszków, dalej Przełożona **Sióstr Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych** na Brazylią, siostra Teresa Rinaldi (Włoszka), siostra Petronela Imas (z rzeczypospolitej Uruguay), dyrektorka szpitalu w Ouro Preto, siostra Marya Causirat (nowomianowana dyrektorka zakładu w Ponte Nova), siostra Julia Argenton, Paulina Heitzmann i trzy inne siostry, — wszystkie pochodzące z Brazylii i należące do Zgromadzenia **Sióstr Panny Maryi Wspomożycielki.** Do tego już i tak dość licznego grona przyłączyła się jeszcze Pani Lusso (Włoszka), matka, mająca dwóch synów i córkę w Zgromadzeniu salezyańskiem.

Celem przedsięwziętej podróży było założenie szkoły rolniczej w Cachoeira do Campo i dwóch zakładów dla zakonnic w Ouro Preto i Ponte Nova.

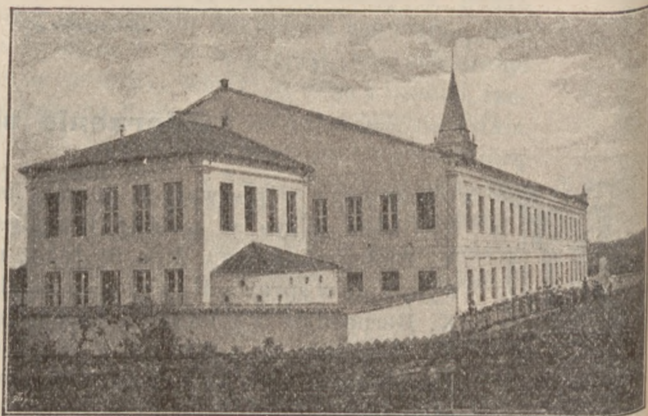
Całe to grono salezyańskie przybyło szczęśliwie do Barra do Piraky, gdzie zatrzymało się na noc. Nazajutrz wyruszyli wszyscy pociągiem pospiesznym do Lafayette i Ouro Preto. O godzinie 3 po południu przybyli do Juiz de Fóra, wcale znacznego miasta w stanie brazylijskim Minas Geraes, gdzie przystanąwszy na chwilę, puścił się pociąg następnie w dalszą drogę całą siłą pary. Wagony ustawione były w następującym porządku: tuż za lokomotywą znajdował się wagon towarowy, do niego przyczepiono osobny wagon, oddany przez rząd brazylijski do użytku księdza Biskupa Lasagna, po nim następował wagon pocztowy, poczem reszta wagonów I i II klasy.

Na kilometr odległości od Juiz de Fóra ukazał się pędzący wprost naprzeciw (od strony miasta Lafayette, a bezpośrednio z Mariano Procopio) pociąg mięszany. W tej krytycznej chwili w wagonie X. Biskupa zakonnice częścią odmawiały różaniec, częścią odbywały t. z. *Straż Najsłodszego Serca Jezusowego*, X. Zatti z księdzem Albanello odmawiali brewiarz, X. Biskup Lasagna zaś wraz ze sekretarzem oddawali się również ćwiczeniom duchownym.

Obydwaj maszyniści, prowadzący lokomotywy obudwóch najeżdżających się pociągów, spostrzegli dość wcześnie grożące niebezpieczeństwo i puścili kontraparę, lecz odległość była już za małą, by uniknąć zderzenia. Pomimo tego maszynista pociągu, w którym

znajdowało się grono zakonne salezyańskie, z odwagą godną wszelkiej pochwały, narażając własne życie, by uniknąć większego nieszczęścia, usiłował osadzić lokomotywę w miejscu, co mu się też w części udało. W chwilę potem nastąpił straszny huk: obydwie lokomotywy rozbiły się w kawały, a dwa najbliższe im wagony wparły się jeden na drugi. Wszystko to było dziełem zaledwie kilku sekund i nie da się oddać słowami.

Wagon pocztowy, gwałtownie odrzucony w tył, wbił się w wagon, w którym się znajdowała rodzina salezyańska, miażdżąc najprzód zakonnice, potem Biskupa Lasagna i jego sekretarza i zatrzymał się swoją przednią ścianą tylko na odległość jednego metra od księdza Zatti i księdza Albanello, który przyszedłszy do siebie z pierwszego przerażenia ujrzał u swych nóg zakonnicę i kleryka krwią zbroczonych i wijących się z boleści. X. Albanello dał im rozgrzeszenie *in articulo mortis*, następnie razem z księdzem Zatti wysadził ich jak mógł oknem i wyskoczył sam za nimi. Lecz o zgrozo! jakiż bolesny przedstawił im się widok! Obadwa wagony zamienione w bezładną kupę trzask, wiorów i połamanych desek, wśród nich zaś leżał X. Biskup zmiażdżony do niepoznania i jego towarzysze zamienieni w bezkształtną masę ciał. Z innych wagonów słychać było można krzyki przestrachu i jęki rannych.



Kolegium salezyańskie w Guaratingueta.

Zabici i ranni.

Mimo rzęsistego deszczu tysiące osób zbiegły się z miasta Juiz i najbliższej okolicy na miejsce wypadku. Po dwóch godzinach wytężonej pracy zdołano rozebrać strzaskane wagony i wydobyć z pod nich zwłoki X. Biskupa Lasagna, jego sekretarza, X. Bernardyna Villaamil, siostry Teresy Rinaldi, Petroneli Imas, siostry Julii Argenton, Jadwigi Gomes Braga i jednego palacza, — razem 7 zabitych. Reszta ofiar katastrofy, mniej lub więcej pokaleczonych, była jeszcze przy życiu.

Pani Lusso miała jedną tylko nogę zdrową, reszta ciała była zmiażdżona i połamana; przeżyła jeszcze dni ośm.

Siostra Paulina Heitzmann odniosła głęboką ranę w głowę i nadto miała złamaną nogę i jedno ramię, a jużto można uważać za prawdziwy cud, że żyje dotychczas.

Zwłoki siedmiu ofiar nieszczęśliwego wypadku przewieziono do pobliskiego klasztoru **OO. Redemptorystów**, którzy w niesieniu pomocy wszelkiego rodzaju okazali się prawdziwie aniołami miłości chrześcijańskiej. Razem z pozostałymi dwoma księżmi Salezyanami krzątali się około rannych przez całą noc, nie szczędząc im pociech duchownych i pielęgnując ich z największą troskliwością.

Ranne zakonnice znalazły schronienie w domach dwóch zacnych rodzin miasta, a kilku biegłych lekarzy oddało na ich usługi swoje doświadczenie i wiedzę.

Wrażenie wywołane katastrofą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wypadek ten kolejowy wywołał nietylko w Juiz de Fóra, lecz w całym stanie Minas Geraes, gdy telegraf rozniósł o nim wieść wszędzie. Od biskupa do ostatniego księdza, od prezydenta rzeczypospolitej do ostatniego obywatela kraju, — wszystkich bez wyjątku wieść o nieszczęśliwym wypadku głębokim przejęła smutkiem.

Na twarzach niezliczonej liczby ludzi, jacy bądź nadbiegli na miejsce katastrofy, bądź się kupili przed domami, gdzie leżeli ranni, można było czytać wyraz szczerego smutku i żalu.

Dzwony w kościele parafialnym i po innych kościołach w Juiz de Fóra zadźwięczały żałobnie i nie ucichły, dopóki nie złożono w ziemi na ostatni spoczynek zwłok posłańców Wiary, ktorzy przybywali do tego Stanu z zamiarem pełnienia dzieł niezmordowanej swej gorliwości.

X. Wikary w Juiz de Fóra wysłał natychmiast telegramy z uwiadomieniem o wypadku do prezydenta rzeczypospolitej brazylijskiej, do ministra wyznań, do biskupa dyecezyi i jego wikaryusza generalnego, jak również do domów salezyańskich w Brazylii.

Wraz zaczęły nadchodzić liczne telegramy z różnych stron rzeczypospolitej, żądające bliższych szczegółów katastrofy i świadczących o głębokim żalu, wywołanym w całej Brazylii.

Rada miejska w Ouro Preto zawiesiła posiedzenie na znak żałoby i wyznaczyła komisyę, mającą ją reprezentować na pogrzebie. To samo uczyniła również Rada powiatowa, mająca swą siedzibę w Juiz.

Zarząd szpitala w Ouro Preto zatelegrafował natychmiast do Wikarego w Juiz de Fóra, polecając mu wyprawić ofiarom ile możności jak najwspanialszy pogrzeb, złożyć wieńce na trumnie i reprezentować go przy żałobnej tej ceremonii.

To samo polecenie nadesłał prezydent stanu Minas Geraes w imieniu Rządu centralnego rzeczypospolitej brazylijskiej.

X. Biskup z Camaco przerwał swą wizytę pasterską. Jego drugi wikaryusz jeneralny w Marianna wezwał osobnym okólnikiem dyecezyan do modlitw za spokój dusz ofiar katastrofy.

Nie mówimy już nic o wrażeniu, jakie smutny ten wypadek sprawił na Salezyanach i Zakonnicach **P. Maryi Wspomożycielki** w Brazylii, których w jednej chwili, i to w sposób tak okrutny, pozbawił ukochanych przełożonych i czterech współtowarzyszy w pracach apostolskich. X. PERETTO, dyrektor kolegium salezyańskiego w Lorena, brat Dominik DELPIANO z S. Paolo z trzema zakonnicami z domu Guaratinguetà pospieszyli natychmiast na miejsce wypadku, by oddać ostatnią przysługę zmarłym i pocieszać rannych. Równocześnie starał się X. FOGLINO, dyrektor kolegium w S. Paolo, zachęcać wszystkich, którzy cios ten fatalny dotkliwie odczuli, do pokornego i zupełnego poddania się woli Bożej, podczas gdy od Rządu *brazylijskiego*, *uruguayskiego* i *paraguayskiego*, od różnych biskupów i księży, jak niemniej od rozlicznych stowarzyszeń i prawie wszystkich zakonów, nadchodziły niezliczone telegramy i listy, wyrażające współczucie, do wszystkich domów salezyańskich.

Nabożeństwo żałobne.

O godzinie wpół do dziesiątej przed południem, 7go listopada, niezliczony tłum ludu zebrał się w kościele *della Gloria* w Juiz de Fóra, by wziąć udział w nabożeństwie żałobnem za spokój duszy ś. p. X. Biskupa LASAGNA i jego towarzyszy.

Kościół był obity żałobnym kirem. W nawie kościoła wystawiono zwłoki w następującym porządku: w środku na katafalku leżały zwłoki Najprzew. X. Biskupa LASAGNA; na sarkofagu złożono mitrę i inne godła władzy biskupiej. Po bokach ustawiono z jednej strony trumny mieszczące zwłoki księdza VILLAAMIL, siostry Teresy RINALDI i siostry Petroneli IMAS, z drugiej: Jadwigi BRAGA, Julii ARGENTON i palacza. Trumny pokryte były kwiatami naturalnymi i sztucznymi, tudzież wieńcami, złożonymi przez różne familie i stowarzyszenia.

Po odprawieniu szesnastu Mszy św. cichych, X. wikary Wenancyusz CAFÉ celebrował śpiewaną Mszę żałobną, poczem nastąpiły egzekwie. Powszechnie uderzał żałobny nastrój i niezwykłe skupienie ducha u całej tej niezliczonej masy ludu, co niewątpliwie świadczyło o szczerem, rzetelnem współczuciu i żalu, jakie panowały w jego sercu.

**

Uczestniczyły w nabożeństwie wszystkie znaczniejsze rodziny z miasta, miały tam również swych zastępców władze cywilne i wojskowe, tudzież rozmaite stowarzyszenia pobożne i naukowe. Był więc reprezentowanym trybunał sądowy, szkoła prawa w Minas Geraes, obywatelstwo z Ouro Preto i Cachoeira do Campo, dokąd byli się właśnie udawali Salezyanie i zakonnice, których zwłoki obecni mieli przed sobą w trumnach, szpital z Ouro Preto, dzienniki: *La Paiz*, *Correo de Minas*, *Bandolim*, *Etoile do Sud*, *Journal do Brazil*, *Pharol* i t. d.

Po skończonem nabożeństwie wygłosił X. wikary wzruszającą przemowę, w której złożył należny hołd cnotom i poświęceniu ofiar nieszczęśliwego wypadku, a szczególniej ich kierownika, X. Biskupa Lasagna, który tyle położył zasług nietylko w rzeczypospolitej Uruguay, lecz także w Brazylii, a zwłaszcza w stanie Minas Geraes.

Pogrzeb.

Bezpośrednio potem nastąpił pogrzeb. Była już godzina 1ª po południu. Trumnę X. Biskupa i jego sekretarza nieśli Salezyanie i **OO. Redemptoryści**, trumny zakonnic niosły panie z miasta. Na cmentarzu było kilka jeszcze wzruszających mów.

Na koszt państwa zostanie wkrótce wystawione wspaniałe mauzoleum, które nosić będzie następujący napis, ułożony przez wielkiego przyjaciela XX. Salezyanów, księdza Dr. Wenancyusza Café:

AQUI REPOUSAM NA PAZ DO SENHOR
ABENÇOADOS DOS ANJOS
LOUVADOS DOS HOMENS
ADMIRADOS DE TODOS

OS FILHOS DE DOM BOSCO

VICTIMAS DE SEU APOSTOLADO
NA CATASTROPHE SEIS DE NOVEMBRO 1895 VIA CENTRAL
DA VERDADEIRA CIVILISAÇÃO MESTRES ET PREGOEIROS
O LAUREADO PONTIFICE E SEUS COMPANEIROS

DOM LUIZ LASAGNA BISPO DE TRIPOLI

P.e BERNARDINO VILLAAMIL
MADRE THERESA RINALDI
IRMÃ HEDWIGES GOMES BRAGA
IRMÃ PETRONILLA IMAS
IRMÃ JULIA ARGENTON
D.a JOANNA LUSSO

REQUIESCANT IN PACE

O ESTADO DE MINAS
PARA ETERNO RECONHECIMENTO
AQUI LHES ERIGE ESTE SIGNAL DE GRATIDÃO.

TU SPOCZYWAJĄ W POKOJU PANA

OD ANIOŁÓW BŁOGOSŁAWIENI

OD LUDZI CHWALENI

OD WSZYSTKICH PODZIWIANI

SYNOWIE I CÓRKI KSIĘDZA BOSKO

OFIARY SWEGO APOSTOLATU

W KATASTROFIE 6 LISTOPADA 1895 ROKU NA *VIA CENTRAL*

PRAWDZIWEJ CYWILIZACYI MISTRZE I NAUCZYCIELE

CHWALEBNY KSIĄŻĘ KOŚCIOŁA

X. ALOJZY LASAGNA, BISKUP TRIPOLITAŃSKI

I JEGO TOWARZYSZE

X. BERNARDYN VILLAAMIL

MATKA TERESA RINALDI

SIOSTRA JADWIGA GOMEZ BRAGA

SIOSTRA PETRONELA IMAS

SIOSTRA JULIA ARGENTON

PANI JOANNA LUSSO

NIECH ODPOCZYWAJĄ W POKOJU

STAN MINAS

W DOWÓD NIEWYGASŁEJ WDZIĘCZNOŚCI

TEN POMNIK IM WYSTAWIŁ.

Pisano nam z Montevideo, że X. Biskup LASAGNA, zanim się udał do Brazylii, zrobił wpierw testament, jak gdyby przewidywał mającą wkrótce nastąpić śmierć, tym zaś, którzy się dziwili tej zbytecznej (jak się wyrażali) przezorności, odpowiadał: „*Nie można wiedzieć, co jeszcze może zajść w drodze.*“ Wiele już razy, jak prawdziwy misyonarz, poświęcił był Bogu swe życie, śmierć więc jego była nagłą, lecz nie nieprzewidzianą.



PIERWSZE

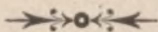
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział V.

Pomyślne rozwijanie się Oratoryum przy *małym szpitalu*. — Początki *szkół niedzielnych* i *wieczornych*. — Oratoryum przeniesione do *młynów św. Marcina*. — Przesadzanie kapusty i mówka. — Zaczynają się zatargi. — Ręka sekretarza a ręka Boga.

W kaplicy, urządzonej w pobliżu głównego zabudowania *małego szpitala św. Filomeny* (o czem była mowa w rozdziale poprzednim), zaczęło się Oratoryum rozwijać jak najpomyślniej. W dni świąteczne chłopcy zgromadzali się licznie, by się wyspowiadać, wysłuchać Mszy i przystąpić do Komunii św., która była głównym środkiem, za pomocą jakiego X. Bosko, wpoiwszy już dostatecznie w swych młodzieniaszków główne zasady Wiary i dobrych obyczajów, trzymał ich zdala od występków i grzechu. Po południu odbywał się wykład katechizmu, śpiewano pieśni nabożne, poczem następowała nauka, zastósowana do ich wieku, zawodu i stopnia wykształcenia, niezbyt długa a zawsze budującymi przykładami przeplatana, a na końcu udzielano błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentu; ten jednakże przechowywano w *cyboryum* tylko w dniach świątecznych. W przerwach, przed i po nabożeństwie, miały miejsce skromne rozrywki i zabawy pod przewodnictwem samegoż księdza Bosko, księdza Borel'a, jego prawej ręki, i tego lub owego ze starszych młodzieńców, znanych z roztropności i przykładnego sprawowania się. Zabawy odbywały się w wąskiej a długiej uliczce, która istnieje dzisiaj jeszcze pomiędzy klasztorem *Magdalenek*, wystawionym przez markizę Barolo, a *szpitalami* księdza kanonika Cottolengo.

W tym samym czasie, t. j. w 1845 r., X. Bosko rozpoczął był, a następnie udoskonalił, szkoły niedzielne i wieczorne, które dla wielkich korzyści, jakie z nich odnoszono, zaprowadzono niebawem także w innych miastach, dziś zaś powszechnie są popierane i rozsiane po całych Włoszech. Działo się to w ten sposób, że w dni świąteczne po nabożeństwie, a w dni powszednie wieczorami, o naznaczonej godzinie zgromadzała się młodzież w pomieszkaniu księdza Bosko i księdza Dr. Borel'a, obadwaj kapłani zaś, zawsze gotowi na jej usługi, zamieniali własne pokoje w szkoły, ucząc chłopców czytania, pisania i rachunków. Dla wielu z nich, szkoła ta była prawdziwie wielkiem dobrodziejstwem, gdyż będąc zmuszeni przez cały dzień nieraz ciężko pracować dla zarobienia sobie na kawałek chleba i z tego powodu nie mogąc uczęszczać do szkół publicznych, byliby pozostali na całe życie nieukami i z trudnością by im przyszło przyswoić sobie choćby tylko najprostsze prawdy naszej św. Wiary.

Siedm miesięcy już upłynęło, odkąd Oratoryum zostało przeniesione w pobliże *szpitalika*. Przez ten czas chłopcy, do niego uczęszczający, wzrośli nadzwyczaj w liczbę, całem sercem przywiązali się do swej *kaplicy świątecznej* i jej kierowników, pewni będąc, że długo jeszcze danem im będzie przebywać na tem miejscu, które ze wszech miar tak bardzo się do ich gier i zabaw nadawało. Aliści już w lipcu tegoż samego roku miano im przeciąć wszelką nić nadziei.

Chociaż markiza Barolo chętnem okiem patrzała na każde dzieło dobroczynne i sama doń skorą przykładała rękę, to jednak gdy się zbliżył czas otwarcia *szpitalika* (akt uroczysty miał się odbyć 10 sierpnia 1845 r.), zażądała, ażeby przed tym dniem Oratoryum stamtąd przeniesiono. Obaj kapłani przedstawiali jej wprawdzie z całem uszanowaniem, że miejsce przeznaczone na kaplicę, szkołę i zabawy dla chłopców, nie miało żadnej styczności z wnętrzem zakładu, że okiennice nowego zabudowania były nieruchome i osadzone w sposób, że podparte prętami zwrócone były do góry, że postarają się o to, by gry i zabawy chłopców odbywały się z możliwie najmniejszym hałasem, — wszystko jednakże było daremne: markiza nie dała się przekonać. Zakłady były jej własnością i chcąc niechcąc trzeba się było jej woli poddać.

I tak znowu nasz X. Bosko znalazł się w takim samym, jak już raz niedawno temu, kłopocie: niemniej przeto nie stracił otuchy. Ufny w pomoc Opatrzności Boskiej podał zaraz do *municypium* (*magistratu*, czyli zarządu miasta) w Turynie prośbę o udzielenie mu jakiego dogodnego miejsca na *kaplicę świąteczną* i dzięki poparciu X. Arcybiskupa

Fransoni'ego otrzymał na swoje cele i użytek kościołek *św. Marcina* (tak zwany *dei Molazzi*, czyli młynów miejskich).

Kiedy już ułożył wszystko, co było potrzeba, pewnej niedzieli w miesiącu lipcu zgromadził chłopców po raz ostatni w kaplicy *św. Franciszka Salezego*; odprawiwszy Mszę św. udzielił im w krótkich słowach nieprzyjemnej wiadomości, iż dla różnych powodów trzeba to miejsce dziś jeszcze opuścić i wynieść się gdzieindziej. Nastała chwila zamieszania i odezwały się głosy żalu a nawet sarkania, X. Bosko umiał jednakże chłopców wnet uspokoić, dodał im otuchy i jednocześnie wezwał, by po południu przyszli mu dopomódz w przenoszeniu rzeczy z dotychczasowego Oratoryum do nowego kościoła. Wszyscy stawili się na czas i na dany przez księdza Bosko znak wzięli się ochoczo do rozbierania kaplicy. Wszczął się zamęt i nieład, jak to zwykle bywa przy tego rodzaju przenosinach; przeprowadzka wszakże miała zarazem swoją stronę zabawną. Jeden chwytał za ławkę, drugi za klęcznik, ten wziął na plecy lub na głowę stołek, tamten znowu obraz; jeden niósł świecznik, inny krzyż, i tak ustawiwszy się w długi rząd, jak gdyby szli na emigracyę, udali się całą gromadą do *młynów św. Marcina*, by tam rozbić namioty i założyć główny obóz.

Nieodzowny przy tego rodzaju przeprowadzce harmider, zwłaszcza zaś widok przeciągających procesyonalnie chłopców, wywołał prawie całą ludność owej części miasta na ulicę: jedni stawali przede drzwiami, drudzy wychylali głowy z okien, a wszyscy wywiadywali się ciekawie, coby te przenosiny znaczyły i dokąd się chłopcy udają. Co wszystko razem wzięte znakomicie się przyczyniło do nadania tem większego rozgłosu *kaplicy świątecznej* księdza Bosko w tamtej dzielnicy Turynu i zwabiło do Oratoryum wielu innych chłopców z miasta.

Stanąwszy na miejscu, X. Bosko z właściwą sobie dobrodusznością i, raczej jedyną niźli rzadką, prostotą, zwrócił do licznie zebranej młodzieży następującą przemowę:

„*Jarzyna, a szczególnie kapusta, moi kochani chłopcy, jeśli ma być piękną i głowiastą, musi być przesadzaną. To samo da się również powiedzieć o naszem Oratoryum. Dotychczas było ono przenoszonem z miejsca na miejsce, lecz w każdej nowej siedzibie, dokąd zbiegiem okoliczności zostało przesadzone, przyjmowało się od razu i znakomicie się rozrastało.*

Czas przepędzony w Rifugio (*schronisku*) *nie był bynajmniej bezowocnym. Tak jak w kościele św. Franciszka z Asyżu, otrzymywaliście tam pomoc duchowną wszelkiego rodzaju, znajdowaliście rozrywkę dla duszy i ciała, słuchaliście wykładu katechizmu i nauk, nie brakło wam nigdy przyzwoitych gier i zabaw.*

Przy szpitaliku rozpoczęliśmy prawdziwe Oratoryum; *mieliśmy tam swój kościołek, miejsce ustronne i ze wszech miar dogodne. Zdawało się nam więc, żeśmy już ostatecznie znaleźli miejsce stałe i spokój prawdziwy, Opatrzność Boska wszakże rozporządziła, byśmy i stamtąd się wynieśli a przeprowadzili tutaj. Czy długo tu będziemy przebywać? Tego nie wiemy. Cokolwiekbądź, tuszymy sobie, iż tak jak sadzonki kapusty, podobnież* Oratoryum, *przesadzane z miejsca na miejsce, róść będzie ciągle w liczbę chłopców, miłujących cnotę nadewszystko, że wzrastać również będzie zamiłowanie do nauki, do śpiewu, do muzyki i że zczasem będziemy mieli także tutaj szkoły nietylko wieczorne i świąteczne, lecz także dzienne. Nie kłopoczmy się więc zbytecznie. Złóżmy raczej wszelkie troski i starania w ręce Pana Boga, a On będzie miał nad nami pieczę. On nam i teraz widocznie błogosławi, wszędzie nam dopomaga i ma ciągle o nas staranie; On również obmyśli stósowne dla nas miejsce, a wszystko dla Swojej większej chwały i dobra dusz naszych. Pamiętajmy jednakże zawsze o tem, że łaski Boże stanowią jakby rodzaj łańcucha, a to w ten sposób, iż jedna wiąże się ściśle z drugą. Nie zrywajmy tego łańcucha: korzystajmy należycie z pierwszych łask, a Pan Bóg niezawodnie udzieli nam w nagrodę za to wiele jeszcze innych. Z waszej strony odpowiadajcie godnie zadaniu, jakie sobie postawiło nasze* Oratoryum; *uczęszczajcie do niego regularnie, uczcie się pilnie, to wtedy z pomocą Boską postępować będziecie z cnoty w cnotę, staniecie się dobrymi chrześcijanami, wykierujecie się na prawych obywateli kraju i dostaniecie się kiedyś do ojczyzny niebieskiej, gdzie nieskończone miłosierdzie Pana naszego Jezusa Chrystusa wydzieli każdemu z nas nagrodę, na jaką sobie byliśmy zasłużyli.*“

Chociaż te i tym podobne słowa księdza Bosko i X. Dr. Borel'a dodały chłopcom otuchy, mimo to wyznać trzeba, że nowe to miejsce nie bardzo im się podobało. W nowym bowiem kościele z powodu trudności, jakie stawiał ówczesny proboszcz, nie można było ani odprawiać Mszy św., ani przystępować do Sakramentów, słowem żadnych spełniać praktyk religijnych, tak że w każde rano co niedzielę i święto młodzież była zmuszoną udawać się jak zeszłego roku, kiedy się to jeszcze zgromadzała w pokoju księdza Bosko przy *Rifugio*, to do tego, to znów do owego kościoła w Turynie,

prawie za każdym razem gdzieindziej uczestniczyć w nabożeństwie, co wszystko połączone było z wielkiem roztargnieniem a niewielką korzyścią duchową.

A już pod każdym względem niedogodne było miejsce, przeznaczone na rozrywki. Musieli bowiem chłopcy zabawiać się na publicznej drodze i na małym placu przed kościołem, gdzie co chwilę przechodzili ludzie i ciągły ładowne wozy, psując i przerywając im bezustannie zabawy. Lecz nie mając na razie nic stósowniejszego do wyboru, bawili się jak mogli, czekając cierpliwie, aż im Opatrzność Boska o lepsze jakie i dogodniejsze postara się miejsce.

W tym samym czasie nastąpiła inna jeszcze przeszkoda. I odtąd rozpoczynają się na dobre przeciwieństwa i prześladowania ze strony ludzi, — dowód niemylny, że Oratoryum było dziełem Bożem. Młynarze, czeladnicy, parobcy i t. p., nie mogąc dalej (jak twierdzili) znosić śpiewów, gonitwy, a często gęsto i hałasów tyle setek młodzieży, umówili się pomiędzy sobą i zanieśli do *municypium* turyńskiego zbiorową skargę, przedstawiając owe zebrania świąteczne w jak najbardziej ponurem świetle. Biorąc pohop z ochoczości, z jaką chłopcy powolnymi się okazywali na najmniejszy znak, dany przez księdza Bosko, utrzymywali (były to jeszcze czasy rządów policyjnych krótko przed rokiem 1848), że podobne zebrania są bardzo a bardzo niebezpieczne, każdej bowiem chwili mogłyby nastąpić zaburzenia, a nawet rewolucya. Oprócz tego dodawali, że w kościele, a i poza kościołem, chłopcy wyrządzają szkody i że jeżeli jeszcze dalej zbierać się będą w tej dzielnicy miasta, przewrócą niechybnie wszystko do góry nogami. Koniec końcem żądali, by im całkiem zabroniono użytku kościoła i nie pozwalano nadal zgromadzać się w owych stronach.

Wskutek tego donosu kazał *sindaco* (burmistrz) turyński sprawdzić szkody, jakie rzekomo chłopcy byli wyrządzili, lecz przeciwnie do tego, co mu doniesiono, znaleziono kościół, jego ściany i posadzkę, słowem wszystko, w dawniejszym stanie. Co najwyżej można było zauważyć, to rysę gdzieś na ścianie, jaką któryś z chłopców zrobił końcem gwoździa. I z powodu takiej oto drobnostki podnoszono krzyki i wyrabiano hałasy, wzywając pomocy *municypium*, jak gdyby całe miasto miało się już zapaść.

Szczytem skarg było podanie, wystósowane do ówczesnego burmistrza miasta Turynu ze strony sekretarza młynów. Ten zebrawszy w swem piśmie wszystkie fałszywe oskarzenia, jakie kiedykolwiek wyszły z ust przeciwników, i swoją drogą je przesadzając, utrzymywał bez ogródki, że jest czystem niepodobieństwem, by osoby, w jakikolwiek sposób tamże zatrudnione, mogły nadal wykonywać swe obowiązki i żyć spokojnie. Co więcej, nie wahał się nawet twierdzić, że owe zebrania chłopców były po prostu rozsadnikiem niemoralności.

Wtenczas burmistrz, chociaż osobiście zapewne przekonany o nieprawdziwości donosu, wydał rozkaz, mocą którego X. Bosko miał natychmiast opuścić pomienione miejsce i przenieść swoje Oratoryum gdzieindziej.

Tu warto mimochodem zaznaczyć, że ów sekretarz, który był autorem owej słynnej supliki, kreśląc ją, trzymał już po raz ostatni pióro w ręku. Napisawszy bowiem donos przeciwko Oratoryum, dotknięty został takiem trzęsieniem się prawej ręki, że musiał złożyć urząd, w trzy lata zaś potem zstąpił do grobu. Jednego z jego synów, znalezionego na ulicy, przygarnął X. Bosko do siebie i umieścił w *schronisku*, jakie niedługo potem założył na *Valdocco*.

W tymże samym czasie zdarzyło się wiele innych wypadków, z których można wnioskować, jak od samego początku Oratoryum Pan Bóg dawał do poznania, że błogosławi wszystkim tym, którzy przyłożyli czynną rękę do popierania i utrzymywania zakładów księdza Bosko. Istotnie, bardzo wiele osób z Turynu i skądinąd opowiadało nieraz, iż stosunki majątkowe, jak niemniej ich rodzin, zaczęły się polepszać, odkąd zaczęli wspierać biedną dziatwę i młodzież księdza Bosko. Przeciwnie, nieraz zaciężyła ręka Pańska na tych, którzy powodowani ukrytą złością, stawiali przeszkody temu dobroczynnemu dziełu; często nawet, by lepiej otworzyć oczy dobrowolnie ślepych, nie szczędził Bóg najstraszniejszych kar, jak to zaraz zobaczymy.

(Ciąg dalszy nastąpi).





MISYONARZY SALEZYAŃSKICH,

wysłanych do południowej Ameryki w grudniu 1893 r.

Skreślił X. Stanisław Cynalewski.

Ciąg dalszy *).

1szy grudnia.

Dość wcześnie zbudziliśmy się na to, by najprzód wysłuchać Mszy św., a potem wybiedz na miasto dla obejrzenia tak portu, jak również godniejszych widzenia kościołów, gmachów i zabytków Genui, słusznie z ich powodu, głównie zaś dla malowniczego położenia nazwanej *la Superba* (pyszną).

Jasno wschodzące słońce zdawało się zapewniać, że dzień będzie pogodny; to też z wyjątkiem tylko kilku ostrożniejszych (do których tym razem i ja z Jakóbem Sikorą [1]) należeliśmy), zresztą wszyscy inni udali się zaraz po śniadaniu na miasto i ufając wolnemu od chmur, lubo tak bardzo niestałemu tu nad morzem niebu, puścili się dość daleko od domu. Około godziny 10tej przed południem wicher silnie zawiał od strony morza: w jednej chwili niebo się zachmurzyło, deszcz rzęsisty zaczął lać jak z cebra i z krótkiemi tylko przerwami trwał tak aż ku wieczorowi. Nasi współbracia, którzy wyszli byli rano celem zwiedzenia miasta, powrócili około południa zmoknięci, że aż litość brała. Wzięli wprawdzie byli ze sobą na wszelki przypadek parasole (o Genui bowiem można to samo powiedzieć, co się mówi zwykle o Salzburgu, t. j. że tam człowiek przychodzi na świat z deszczochronem, — tak dalece zmienną i niestałą bywa tam pogoda i tak bardzo często przychodzi ochraniać głowę i całą osobę przed spadającymi całkiem znienacka, a rzadko tylko dającymi się przewidzieć niebieskimi upustami, zaczem poszło, iż parasol z konieczności stał się w tych miastach niemal nieodstępnym towarzyszem człowieka), te jednakże wskutek zbyt silnego wiatru gięły się i nie oddawały im żadnej usługi.

Resztę dnia spędziliśmy więc chcąc niechcąc w domu, jedni wielce zadowoleni, że nie ulegli tak przykremu jak ich współbracia losowi, drudzy zaś smutni, że nieprzyjemnem zajściem przypłacić musieli niepomierną swoją ciekawość. Czasu, który nam jeszcze zostawał aż do wieczora, użyliśmy zato na zwiedzanie warsztatów i pracowni naszego kolegium w San Pier d'Arena, w którem podobnie jak w Oratoryum turyńskiem jest zatrudnionych kilka set ubogich, wszelkich środków utrzymania pozbawionych chłopców. Zręczność, z jaką te poczciwe istoty wykonywały swoje zajęcia, wprawiała w podziw każdego, który im się choć chwilę uważniej przyglądnął. O, ileż to dobrego świadczy społeczeństwu świeckiemu to dzieło, jakie X. Bosko rozpoczął, a które dzisiaj tak się już rozprzestrzeniło w całym Kościele katolickim, nietylko w Europie, ale i w Ameryce, Azyi i Afryce! Niestety, droga Ojczyzna nasza, Polska, nie cieszy się jeszcze posiadaniem podobnych zakładów, któreby jej również jak innym krajom dostarczały bezustannie pracowitych, uczciwych, pożytecznych, Bogu i ludziom miłych człouków społeczeństwa i dzielnych rękodzielników z przymiotami, cechującymi prawych, Boga i ojczysty kraj miłujących obywateli. Takie zakłady byłyby w kraju naszym właśnie na czasie, tem bardziej iż, jak widzimy, prądy przeciwne wszystkiemu, co była wytworzyła religia i cywilizacya chrześcijańska a tradycya narodowa uświęciła, starają się także u nas zaszczepiać niecne a zgubą grożące zasady, które nic innego nie mają na celu, jak przewrócić cały porządek odwieczny, prawem natury od samego Boga ustanowiony, wyniszczyć dotychczasowy, na chrześcijaństwie oparty cywilizacyjny dorobek, odebrać ludzkości, jakimi aż dotąd żyła, ideały, zaszczepić kosmopolityzm, zatruć i zepsować ducha chrześcijańskiego.

Przy zwiedzaniu owych warsztatów najwięcej zwrócił na siebie naszą uwagę długi szereg pracowni, urządzonych w tym porządku komunikacyjnym, iż n. p. papier, który widzieliśmy jak wychodził z magazynu, przeszedłszy przez ręce biegłych, aczkolwiek jeszcze dość młodych drukarzy, dostawał się następnie pod noże i prasy niemniej wprawnych introligatorów, coraz to inną

---

*) Zob. nr. 3 *Wiadomości salezyańskich.*

[1]) Rodem z Miechowic na Górnym Śląsku, bratem Jana Sikory, misyonarza na wyspie Dawson, — *koadjutorem* (jak się mówi w Zgromadzeniu salezyańskiem), czyli braciszkiem, udającym się wspólnie ze mną na misye.

przybierając formę, aż w końcu przedstawiały się oku całe tomy pięknie oprawnych książek. Również można było widzieć rozmaite wyroby stolarskie, kowalskie, ślusarskie, krawieckie, szewskie i t. d., które słusznie mogły wprawić w zdumienie widzów, znawców a choćby i nieznawców, zwłaszcza jeżeli się zważy, że były dziełem chłopców od 15-18 lat mających, którzy, jak widać, uznając dobrodziejstwo im wyświadczone, pilnością, korzystaniem z czasu i dobrem sprawowaniem się, każdy w swem rzemiośle, dają dowody wdzięczności swym duchownym dobroczyńcom. Czegoby się było można spodziewać po tych biednych istotach, gdyby tak bez żadnej opieki duchownej, albo też według nowego systemu, samym sobie, to znaczy: na łup swoich namiętności i niezmordowanie czyhającemu na ich dusze czartowi, były zostawione? — to tylko pewna, że staliby się zgorszeniem, ciężarem, jednem słowem wyrzutkami ludzkiego społeczeństwa, tymczasem w ten sposób, żyjąc skromnie i ucząc się poprzestawać na małem, chowając się w bojaźni Bożej i zachowując przykazania Boga i Kościoła, korzystając pilnie z każdej chwili czasu, wyrabiają się na dzielnych chrześcijan i rękodzielników, a Ojczyzna już obecnie z uśmiechem radości spoglądać może na przyszłych prawych swoich synów.

Dodam jeszcze, że oprócz chłopców, kształcących się na rzemieślników, znajduje się tu również znaczna liczba ubogiej młodzieży, oddającej się naukom.

Prawda, że miałem dosyć sposobności napatrzeć się czemuś podobnemu w głównym zwłaszcza domu salezyańskim w T u r y n i e, **Oratoryum**, dalej w S a n B e n i g n o C a n a v e s e i tylu innych naszych zakładach, gdzie tyle set, albo raczej tysięcy, młodzieży opuszczonej odbiera podobnie jak w S a n P i e r d ' A r e n a wychowanie i wykształcenie, lecz mówić o rzeczy tak wzniosłej, która nietylko ma na celu zapewnienie dobra doczesnego, ale głównie i przedewszystkiem wiecznego, chociażby i jak najczęściej, nigdy za wiele nie będzie; — owszem, byłoby bardzo do życzenia, by każdy dobrze myślący, na niebezpieczeństwa, jakie zewsząd sprawie religii i społeczeństwu grożą, baczne oko mający, Boga i Ojczyznę gorąco miłujący chrześcijanin, podobnymi zakładami się zajmował i środków ku popieraniu tychże nie skąpił.

Rozbudzeni wrażeniami, jakieśmy z odwiedzin warsztatów i zakładów odnieśli, spędziliśmy resztę dnia na wspólnej miłej gawędce, podziwiając nieskończoną dobroć i Opatrzność Boga, który za przyczyną Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki Wiernych, wybrał i posłał Założyciela i Ojca naszego, księdza Bosko, aby w myśl słów Pana i Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa: „*Coście jednemu z tych maluczkich uczynili, Mnieście uczynili*,“ żył i działał dla dobra tych, których Pan Jezus tu na ziemi tak wielce był umiłował.

2go grudnia.

Błękitne, wolne od chmur niebo, zapowiadało z rana piękny dzień, lecz wiatr, który jest tak rzadkim gościem w T u r y n i e, pozwala sobie tutaj nieraz do tego stopnia, że chociaż słońce w najlepsze z góry grzeje i przyświeca, tamuje po prostu pochód na ulicy; zatrzymaliśmy się zatem nieco dłużej w domu z obawy, by się nie narazić na nieprzyjemności dnia wczorajszego. Po Mszy św. jednakże, upewniwszy się wreszcie co do pogody, około godziny 9tej puściłem się w towarzystwie S i k o r y do G e n u i.

Udaliśmy się nasamprzód do portu, gdzie przedewszystkiem zwrócił naszą uwagę ogromny, silnie zbudowany statek *Vittoria* (zwycięstwo), 130 metrów długi i stosunkowo do swej długości szeroki i wysoki. Byłto właśnie okręt, który miał nas przewieźć przez Atlantyk do A m e r y k i południowej. Przypatrywaliśmy mu się długo i obejmowali jego zewnętrzne kształty rozmarzonem okiem. Mimowoli zapytywaliśmy się: przewieziesz-li nas szczęśliwie po przez tonie oceanu, oprzesz li się zwycięsko wichrom i nawałnicom, ty kolosie o dumnem, nadzieję, a nieledwie pewność budzącem mianie, a jednak bądź co bądź, mimo twego ogromu, w porównaniu ze spętanemi, pod falami drzemiącemi, a na twoją zgubę czychającemi siłami, marna łupino od orzecha, jeżeli cię ręka Wszechmocnego Stwórcy przez morskie przestworza bezpiecznie nie przeprowadzi? Obiecujesz zwycięstwo, a jednak sam go dać nie zdołasz. Równych tobie korabiów całe seciny walają się na dnie morskiem razem z kośćmi tych, co ufni w ich ogrom i odporną siłę, im — stworzeniom miasto Stwórcy — powierzyli niebacznie swe losy. Jeden jest tylko Zwycięzca, jeden, co zapewnić może szczęśliwą przez wszystkie bałwany przeprawę: Ten, *któremu i wiatr i morze są posłuszne* — C h r y s t u s; jedna tylko gwiazda zdolna rozświecić wszelkie mgły i ciemności morskie, jedna, co wskazać może żeglarzowi błądzącemu drogę, prowadzić go bezpiecznie po wodnej pustyni, a do zacisznej przystani doprowadzić szczęśliwie — M a r y a.

Od naszej *Vittorii* przeszliśmy następnie do oglądania innych statków i zwiedzania całego wogóle portu. Prawdę powiedziawszy, widok morza, bijącego bałwanami o setki rozmaitej wielkości, długim szeregiem w przystani rozciągniętych statków i majestatyczne tychże kołysanie się, jakkolwiek ogółem wziąwszy bardzo wspaniale się przedstawiały, to jednak niekoniecznie miłe robiły wrażenie na tych, co jak my, przez cały miesiąc prawie, mieliśmy być wystawieni na to ustawiczne, we dnie i w nocy nie dające spoczynku, drażniące nerwy, a czasem nawet o ciężką niemoc przyprawiające chwianie się. Odwiedziny te nasze w słynnej genueńskiej przystani, urozmaiconej bądź mniejszymi, bądź też większymi, żaglowymi i parowymi, towarowymi albo też osobowymi statkami, zajęło nam cały czas przedpołudniowy.

Po obiedzie i po czytaniu duchownem, odbytem w połączeniu z odwiedzeniem Najświętszego Sakramentu (jak to przepisują nasze reguły), po obiedniej rekreacyi puściliśmy się na miasto. Prowadzi do niego z San Pier d'Arena tylko jedna droga przy morzu, po której jednej stronie idzie kolej konna, a po drugiej ciągną się fury, któremi bywa nieraz tak zawaloną, iż z trudnością tylko można przecisnąć się. Genua jest zbudowana w kształcie amfiteatru na pochyłości gór tuż nad morzem tak, że zaledwie jedną tylko posiada szeroką ulicę, zasługującą na to miano, na której (po stronie przeciwnej od morza) wznoszą się może nie tak piękne, ale zato nadzwyczaj wysokie pałace, zwrócone ku portowi. Zresztą miasto jest całe dziwnie ściśnięte, uliczki ma wąskie i ciemne, kamienice zaś 6to, 7to i 8^{io} — piętrowe, nierzadko w górze pomiędzy sobą połączone mostkami. Z miasta widok na morze jest bardzo dogodny, lecz nie zawsze, jak się zdaje, dla częstych z tamtej strony wichrów dla mieszkańców przyjemny. Wnętrze miasta jest ogółem wziąwszy dość piękne, pomimo uliczek miejscami nieochędożnych. Kościoły i kaplice, jakie zwiedziliśmy, odznaczają się i bogactwem i wytwornością sztuki snycerskiej. Co jednakże więcej nad wszystko inne w nas budziło podziw, był cmentarz genueński — cud piękności.

W ten sposób zeszedł nam cały dzień; znużeni całodziennem bieganiem wróciliśmy o zmroku do kolegium, gdzie niezadługo miło nam było posłyszeć znak dzwonka, wzywającego nas na wieczerzę, a wkrótce potem na modlitwę i spoczynek, co wszystko nam było nader pożądanem, tembardziej że dnia następnego mieliśmy rozpocząć nareszcie ową długą podróż, o której tak dawno już przedtem marzyliśmy a która za godzin kilkanaście miała się stać rzeczywistością.

3^{ci} grudnia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności podróż nasza rozpoczęła się właśnie w dzień św. Franciszka Xawerego, po wszystkie wieki wzoru niedościgłego i przykładu do naśladowania dla każdego prawdziwego misyonarza, którego święty zawód i myśmy w niegodności naszej obrać sobie się odważyli; to też w czasie rannej Mszy św. w szczególniejszy sposób polecaliśmy się opiece tego świętego Patrona wszystkich misyonarzy. Około godziny 9^{ej}, po wysłuchaniu drugiej Mszy św. (była to bowiem niedziela) przygotowaliśmy co było jeszcze potrzeba, by po obiedzie być już całkiem gotowymi udać się do portu, gdzie o godzinie 2^{ej} po południu stawić się nam przykazano. Godzina obiadu była nieco przyspieszoną; po obiedzie, na dziedzińcu zakładu kapela, złożona z kilkudziesięciu chłopców, żegnała nas harmonijnymi tony rozmaitych narzędzi muzycznych, a liczne wystrzały z moździerzy wzbudziły ciekawość w sąsiadujących z kolegium naszem mieszkańcach, przestrzeżonych w taki sposób o jakiemś niezwykłem w domu naszym zdarzeniu. To też wychodząc z kolegium byliśmy przedmiotem ciekawych spojrzeń i rozmów licznie zebranej publiczności, lecz kilka wozów konnej kolei, zamówionych umyślnie dla przewiezenia nas do portu, usunęły nas prędko z ich otoczenia.

Przybyliśmy do portu. Już zdaleka można było widzieć nasz okręt, oznaczony gwiazdą i flagą, czyli chorągwią, która nas swem powiewaniem niejako wabiła do siebie. Natłok był ogromny. Wsiadanie na statek trwało od godziny 2^{ej} do 6^{ej}, a to z powodu iż komisya urzędowa przeglądała papiery podróżnych. Najwięcej oczywiście zwracano uwagę na młodzież, w popisowym wieku być mogącą, która też więcej, niż wszyscy inni, ścisłemu ulegała badaniu. Na szczęście nasi klerycy byli zaopatrzeni w paszporty, inaczej z pewnością nie byliby przepuszczeni. Dla mnie i Sikory, jako obcokrajowców, dostatecznem było wykazać metryką, że jesteśmy cudzoziemcami, i to wystarczyło, by wszelkie usunąć do wsiadania przeszkody.

Jakkolwiek to wsiadanie na statek trwało kilka godzin, to jednakże dla nas zakonników użyto pewnych względów i natychmiast ułatwiono nam przejście przez ową ciżbę, jaka się znajdowała w sali poczekalnej. Okręt

nasz, *Vittoria*, który nas tak wczoraj, oglądany z zewnątrz, uderzał swą wielkością, silną budową i zgrabnością nad wszystkie inne, wyglądał teraz, oglądany i zbliska i w swojem wnętrzu, prawie jak małe miasteczko. Mieliśmy czas i sposobność przypatrzeć mu się dokładniej.

Jest trzypiętrowy: *pierwsze* piętro całe zanurzone we wodzie, a w temże mieszczą się rozmaite pakunki, w jednym zaś jego końcu przechowują zapas wody słodkiej, gdyż morskiej do niczego użyć nie można (jest bowiem — jak powszechnie wiadomo — smaku słono-gorzkiego, a przytem tłusta tak, że i do mycia nawet nie bardzo przydatna); na *drugiem* piętrze znajdują się kajuty dla podróżnych, które jedną trzecią swej wysokości są również zanurzone we wodzie; wreszcie *trzecie* piętro obejmuje magazyny z rozmaitymi zasobami żywności, kuchnię, piekarnię, warsztat ślusarski i stolarski i długą salę jadalną ze stołami, ustawionymi w 3 rzędy, dla podróżnych pierwszej i drugiej klasy. Obok jadalni znajduje się pokład we formie ogromnej, długoowalnej sali, przykrytej grubem płótnem chroniącem od upału i słoty, a ogrodzonej silną baryerą.

Co się tyczy wewnętrznego urządzenia tak sali jadalnej jak i kajut, to takowe zasługuje już nietylko na określenie: *wzorowy porządek i czystość*, ale wprost na wyrażenie: *przepych i zbytek*, tak iż w pierwszej chwili trudno nawet przychodzi pogodzić się z myślą, że to na statku mogą być podobne urządzenia. Dodać jednakże należy, że to tylko w drugiej i pierwszej klasie podobną napotyka się czystość a nawet zbytek, a jakkolwiek i w klasie trzeciej nie brak ścisłego dozoru w utrzymywaniu porządku i ochędóstwa, to jednakże tego z większą już trudnością przestrzegać można z powodu przepełnienia, a także pewnego zaniedbania się, właściwego tego przedziału podróżnym.

Cały okręt dzieli się zaś na 3 części: *przednia część* zajęta jest rozmaitego rodzaju żywym inwentarzem, jak: wołami, krowami, cielętami, skopami, nierogacizną i różnego rodzaju drobiem w znacznej ilości; to wszystko stanowi zapas żywności dla podróżnych.

W *części środkowej* mieści się dość obszerny pokład trzeciej klasy ze znajdującemi się w spodzie sypialniami. Właściwy jednakże środek całego okrętu tworzy ogromna maszyna, która go porusza, a w około niej grupują się kuchnie i śpiżarnie.

Cały *tył okrętu* zajmuje pierwsza i druga klasa. Podróżni tych dwóch klas mają ten przywilej, iż mogą chodzić po całym statku: rzecz się ma zupełnie przeciwnie z podróżnymi w klasie trzeciej, którzy nie mogą wydalać się po za obręb miejsca, ściśle dla nich wymierzony. Liczba wszystkich podróżnych na *Vittorii* razem z marynarzami i służbą dochodziła do 1000 osób. Koszta podróży od jednej osoby wynosiły 2ą klasą 550 franków (dla nas misyonarzy zniżono je na 400 fr.), 3ą zaś płaciło się 280 franków (od dzieci tylko 140 fr.).

Co do kajuty, to trafiłem na bardzo wygodną: wszystkie inne t. z. *kabiny* drugiej klasy mają bowiem po cztery łóżka, ta zaś, w której ja zostałem umieszczonym, miała ich tylko trzy, z których jedno nadto urządzone było w ten sposób, iż w danym razie mogło służyć za kanapę, — wygoda, jakiej po innych kajutach tejże klasy nie zdarzyło mi się dopatrzeć. Mymi współlokatorami byli X. M a n g a n o (Sycylijczyk) i brat Jakób S i k o r a.

Co do urządzenia wewnętrznego kajut, to takowe nie pozostawiało nic do życzenia. Wszystkie zakątki okrętu były oświecone przez całą noc światłem elektrycznem, a także wygodną komunikacyą elektryczną było można posłużyć się w razie potrzeby na każdem miejscu: tak w sali jadalnej jak i w kajutach, na pokładzie i na korytarzach. Nad służącymi, których na statku znajduje się kilkunastu, najściślejszy wykonywa się dozór; to też usługa nadzwyczaj jest skorą i uprzejmą.

Tak zbliżyła się godzina 6ª wieczorem. Czas czterogodzinny, spędzony na oględzinach całego urządzenia okrętu, ubiegł bardzo szybko. Już wszyscy podróżni znajdowali się na statku, zaczem podniesiono most, który łączył statek z ziemią, spuszczono flagę, która dotąd powiewała na najwyższym maszcie, maszyna silnem gwizdnięciem dała znak, że nadszedł czas odjazdu. Wraz statek ciężkimi ruchami potwierdził to przeraźliwe, uszy rozdzierające obwieszczenie. Dźwignięto kotwicę, do statku założono mały parowiec, który oddawszy mu tę ostatnią przysługę, tj. wyprowadziwszy go na głębinę morską, pozostawił go sobie samemu i powrócił napowrót do przystani.

Dużo z moich współtowarzyszy podróży odprowadziła aż na statek rodzina, krewni i przyjaciele, to też w chwili, gdy okręt nasz powoli zaczął odbijać od lądu, rozległy się wołania: *addio! buon viaggio! a rivederci!* bądź zdrów! szczęśliwej podróży! do zobaczenia! Żegnano się wzajemnie. Ci zaś, którym do portu nikt nie towarzyszył, wołali: *addio, cara mia patria!* (żegnam cię, droga ojczyzno!), *addio, bella Italia!* (żegnam cię, o piękna Italio!)

Słysząc te słowa, jakkolwiek i serce i wszelkie uczucia poświęciłem już oddawna Temu, za którego głosem dzisiaj puszczałem się w podróż, to jednakże i we mnie zawrzała krew, a długo tłumione uczucia wybuchły z niepohamowaną siłą. Silniej niż kiedykolwiek zatęskniłem za drogą Ojczyzną, za ukochaną rodziną i przyjaciółmi, tem bardziej że widząc i słysząc naokół tak czułe pożegnania, stałem całkiem odosobniony i nie danem mi było usłyszeć choć jednego naszego: *jedź z Bogiem!* Przed oczami ciała leżało wprawdzie pyszne włoskie miasto, roztaczał się przepiękny krajobraz, ale oczy mej duszy skierowane były daleko w dal, na północ, ku Polsce. Dłuższy-bo na obczyźnie pobyt namiętnie przywiązuje do Ojczyzny. Potrącanie ustawiczne o obce zwyczaje, o obcy język i sposób życia, o obcy nawet sposób myślenia, każe uważać rodzime obyczaje, ojczystą mowę i tryb życia swojski — mimo wszystkie ich nieraz braki i wady — za coś idealnego, z niczem na świecie nie dające równać się, kraj zaś ojczysty jako raj, majaczący w oddali, od którego dziwną jakąś przeszkodą trzymanym się jest zdala. Łzy puściły mi się z oczu i sam nie wiem skąd, przyszedł mi na myśl psalm 136 *Super flumina*, który szlachetny kapłan francuski (X. Perreyve), co zbliska widział niedolę naszych wychodźców nad Sekwaną, nazwał był *le psaume de la Pologne* (psalmem Polski), a którego słowa zacząłem parafrazować, odnosząc je, tak jak on, z *Jeruzalem* na *Polskę*.

Nad rzekami babilońskiej ziemi, tameśmy siedzieli i płakali wspominając na Syon.

Na wierzbach wpośród jej powieszaliśmy muzyckie naczynia nasze.

Bo nas tam pytali, którzy nas w niewolę zagnali, o słowach pieśni,

A którzy nas zawiedli: *śpiewajcie nam pieśń z pieśni syońskich!*

Jakoż mamy śpiewać pieśń Pańską w cudzej ziemi?

Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, — *o Polsko, ojczyzno moja,* — niech zapomniana będzie prawica moja,

Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeślibym na cię nie pomniał:

Jeślibym nie pokładał Jeruzalem, na początku wesela mego.

Pomnij, Panie, na syny Edom w dzień Jeruzalem,

Którzy mówią: spustoszcie, spustoszcie aż do gruntu w niem!

Córko babilońska, nędznico! błogosławiony, który tobie odda nagrodę twoją, którąś nam zadziałała!

Błogosławiony, który pochwyci i roztrąci dzieci twe o opokę!

Byłbym może pozwolił owładnąć się zbytniemu, przyznaję nawet otwarcie: czysto ludzkiemu i wcale nie licującemu z mem powołaniem rozrzewnieniu, gdyby nie myśl, która dość jeszcze wczas mnie pohamowała, że cel mojej podróży jest duchowy, a zadanie, jakie mam spełnić, jest najszczytniejsze, jakie sobie wyobrazić można, i ze światem i wszystkiem, co jego jest, nic do czynienia nie mające. By uniknąć więc wszelkich niepotrzebnych wrażeń, zanuciłem sobie półgłosem „*Gwiazdo morza*“ i z pokładu zeszedłem do kajuty.

Jakby w nagrodę za to zreflektowanie się, w kilka chwil potem wszedł służący do mej kajuty i wymawiając coś podobnego do mego nazwiska, zapytał się, czy ten taki znajduje się w numerze 25^{ym}, jak wykazywała lista podróżnych. Domyśliłem się zaraz, że brzmienie głosu, jakie wydał ów Włoch, do mojej się odnosiło osoby; odpowiedziałem więc, że tym, o którego się pyta, jestem w istocie. Biedak, cokolwiek zmieszany, że stał się przedmiotem politowania z powodu niemożności wymówienia trzech spółgłosek (*wsk*) naraz — co włoski język niechętnie przyjmuje, — podał mi siedm listów z Polski, od rodziny i innych życzliwych mi osób, które w tej ostatniej chwili raczyły przesłać mi jeszcze ostatnie pozdrowienie wraz ze szczerem życzeniem szczęśliwej podróży. Na widok tylu listów i takiego dowodu szczerej życzliwości (jakto byłem mógł się z treści ich przekonać) mimowolnie wydałem głos radości i podziwienia, że w chwili, gdy się tego najmniej spodziewać było można, Pan Bóg raczył zesłać mi taką przyjemność. Dzięki Wam stokrotne, moi drodzy, żeście pozwolili użyć się Najwyższemu za narzędzie dla sprawienia mi tak wielkiej radości!

Przejrzenie owych listów zajęło mi chwil kilka, poczem wyszedłem na pokład. Byliśmy już znacznie oddaleni od miasta, które oświetlone rzęsistem światłem, przeglądającem się w morzu, cudowny sprawiało widok. Pomiędzy tysiącznemi światełkami dwie ogromne latarnie morskie rzucały silne promienie, długości kilku kilometrów, na powierzchnię morza.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Nadsyłamy Przewielebnemu Ojcu mały datek jako ofiarę do kościoła *Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.* Jest to ślub, uczyniony Najświętszej Wspomożycielce.

Żona moja cierpiała na ból gardła. Udaliśmy się wprawdzie do lekarza, ale jej się tymczasem pogorszyło tak dalece, że już ani jeść, ani pić, a prawie nawet mówić nie potrafiła. Tak cierpiała blisko 2 tygodnie.

Gdy już wszelka nadzieja daremną była, udaliśmy się do *Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki* z prośbą o uzdrowienie i odmawialiśmy nowennę.

W pierwszym dniu odmawiania nowenny uczuła ulgę, w drugim dniu już się pożywiła trochę, w piątym dniu zaś odzyskała całkowite uzdrowienie.

Prosimy Przewielebnego Ojca, iżby to cudowne przyjście do zdrowia żony mojej raczył ogłosić w *Wiadomościach salezyańskich*, ażeby każdy się uciekał w potrzebach i cierpieniach do *Najświętszej Wspomożycielki* o pomoc, gdyż Ona jej żadnemu nie odmówi.

Z wdzięczności pełnego serca podajemy to na większą cześć i chwałę Pana Boga w Trójcy św. jedynego i *Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.*

Szomberg (powiat *bytomski*), Górny Śląsk.

K. M. i M. G.

*

A. Kaliciński, z Królewskiej Huty (na Górnym Śląsku) nadsyła ofiarę (14 franków) na kościół *Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych* w Turynie, z wdzięczności za otrzymaną łaskę.

*

Kilka tygodni temu zwróciłam się do Przewielebnego Ojca z prośbą o modlitwy sierot księdza Bosko w Oratoryum turyńskiem za mym chorym wnukiem. Dzięki Najwyższemu wyzdrowiał od razu. Oby wszechwładna przyczyna *Najświętszej Wspomożycielki* otrzymała również od Wszechmocnego Boga uwolnienie od choroby wnuczki Janinki, której stan zdrowia żywo nas niepokoi, a którą gorąco modlitwom dziatek z Oratoryum turyńskiego polecam.

Lisicze (gubernia wołyńska).

Zofia Chylewska.

*

Dziękuję Wam najmocniej, drodzy moi XX. Salezyanie, za Wasze modlitwy do *Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych*, które zapewne przyczyniły się, że doznałem ulgi w mej chorobie; dziękuję Wam także za nadsyłanie buletynu Waszego w języku polskim.

W ostatnim czasie niezawodnie lepiej mi jest. Proszę w *Wiadomościach salezyańskich* umieścić moje podziękowanie *Najświętszej Wspomożycielce.* Zarazem upraszam modlić się za mną dalej, abym do zupełnego zdrowia jak najprędzej powrócił.

Rybnik (Górny Śląsk).

X. Miczek.

*

Najprzewielebniejszy Ojcze Dobrodzieju! Spieszno mi bardzo, ale macie wiernego tłómacza moich słów, który wyjaśni, że uczucia wdzięczności najłatwiej i najlepiej wyrażają się w ojczystym języku.

Niech Wam Bóg z najwyższego nieba zapłaci: nietylko bowiem ogarniacie swemi ramiony sieroctwo, upadłych, — nietylko dźwigacie sami ciężar ubóstwa, ale w troskach wypracowaną jałmużną tulicie do swego łona dzieci różnych narodowości, wypiękniając ich dusze, — nietylko stawiacie świetne wzory dla teraźniejszego świata tak zepsutego, ale i nas zachęcacie do nas ręce mimo tylu przeszkód wyciągając, w celu pozyskania nas Bogu.

Oto zaledwie nawiasem nadmieniłam, że od kilku miesięcy bardzo niedomagałam, gdy naraz odebrałam od Was, czcigodny Ojcze, z Turynu list, że wspólnie ze swoim chórem aniołów odprawiacie na moją intencyę nowennę do *Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.* Łzy wytrysły mi z oczu na widok dowodów tylu łask niezasłużonych a ze źródła skarbnicy Bożej płynących.

Otoż pomimo 66 lat przyszłam za Bożą pomocą do zdrowia, dźwigam interesa, które chociaż są łatwe, ale w doprowadzeniu do

skutku trudne ze względu, iż zostaję sama, nieznając krajowego języka i praw.

Tymczasem nasz błogosławionej pamięci X. Jan Bosko wszystko wyjedna u Najświętszej Panny! Dlatego proszę Przewielebność Waszą o dwie Msze święte: jedną na podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, drugą zaś na podziękowanie Panu Bogu, iż X. Bosko zawsze skutecznie umie wyprosić u swojej Opiekunki, Najświętszej Wiernych Wspomożycielki, rozmaite łaski dla nas grzesznych.

X. Bosko wie, że ja rada pamiętać o jego sierotach i dziatwie i oto przesyła teraz przezemnie na *Wiadomości salezyańskie* 5 rubli, na dwie Msze św. 5 rubli, a że podobno Najświętsza Marya Panna żyła na ziemi 63 lat, to razem posyłam 63 rubli na potrzeby salezyańskich misyi.

Upadam do nóg Waszych, Najprzewielebniejszy Ojcze, całem sercem wdzięczna

Apolonia z Kundziczów S o w i ń s k a.

Ż y t o m i e r z (gub. wołyńska).

*

Za otrzymaną łaskę dziękują Najświętszej *Wspomożycielce*

Franciszek i Wilhelmina K i e r a z H o h e n l o h e h ü t t e (Górny Śląsk)
i Amalia S i k o r a z K r a k o w a.

*

Na tydzień przed Wielkanocą b. r. dostałam nagle krwiotoku. Gdy tenże po kilku dniach się powtórzył a stan zdrowia nadzwyczaj pogorszył, udałam się z prośbą o pomoc do Najświętszej Maryi Panny *Wspomożenia Wiernych*, błagając ją, ażeby mi wyprosiła u Pana Boga tę łaskę, bym przynajmniej przed śmiercią wszystko jeszcze do porządku mogła przyprowadzić.

Łaskę tę otrzymałam. Z wdzięczności przesyłam za to do Jej świątyni 40 marek na 20 Mszy św. na intencye w liście wymienione. Obecnie nie mogę wprawdzie jeszcze twierdzić, jakoby mi się zdrowie polepszyło, owszem stan jego jest jeszcze ciągle groźny, zdaję się jednakże zupełnie na wolę Bożą, pewną będąc, że to jest dla nas najlepsze, co Boska Opatrzność względem nas postanowi. Módlcie się za mną.

O p o l e (Górny Śląsk).

Marya K e s l e r.





B a h i a B l a n c a (rzeczpospolita argentyńska, Ameryka południowa).

KOCHANI RODZICE,

. . . . . Przybywszy do **Buenos Aires** zatrzymaliśmy się tam przez 8 dni, t. j. od Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku, by wypocząć nieco po trudach i różnych przejściach morskiej podróży. W tym czasie zwiedziliśmy wszystkie znajdujące się tam domy salezyańskie, których razem jest *dziewięć*: z tych 5 męskich a 4 żeńskie.

Wszystko w nich urządzone na taki sam sposób, jak i w **Turynie**. Są tu więc szkoły i wszystkie najpotrzebniejsze warsztaty rzemieślnicze. Wogóle wszystkie te zakłady znajdują się w kwitnącym stanie, jedynie drukarnia pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Po Nowym Roku przyjechał tu po nas dyrektor Zakładu salezyańskiego w **Bahia Blanca,** który nas zabrał ze sobą. Wsiedliśmy na kolej o godzinie 9tej wieczorem, a że jechaliśmy drugą klasą, przeto mogliśmy w wagonach wygodnie się przespać. Rano odprawiliśmy, o ile się dało wspólnie, modlitwy, poczem pootwieraliśmy okna, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Z okien tych było widać same nieprzejrzane pastwiska, na których bujały sobie ogromne stada bydła rogatego i nierogatego: owiec, świń, wołów i koni. Trawa jest tu bardzo wysoka, lecz (jaką ją widziałem w lecie) nie zielona; jest owszem bardzo sucha, co nie dziw, ponieważ ciepło dochodzi tu w miesiącu styczniu do 40 stopni. Wszystkie te pastwiska pogradzane są płotem drucianym, urządzonym w ten sposób, iż w dość znacznem oddaleniu od siebie zakopane są w ziemię słupy drewniane, przez które przechodzi po 5 lub 6 drutów; żeby zaś bydło, należące do różnych właścicieli, nie mięszało się razem, w środku tego głównego ogrodzenia znajdują się jeszcze co dwa metry słupki, czyli sztaby żelazne, z poprzeciąganymi przez nie drutami, które uniemożliwiają przejście bydła z jednej kwatery do drugiej. Kosztuje to dużo właścicieli trzód, ale z czasem wszystko im się wróci. Na pastwiskach tych leży także pełno szkieletów i kości bydlęcych, których tu nikt nie zbiera ani nie zakopuje, ale leży to wszystko tak długo, dopóki za lat parę samo się w proch nie rozsypie.

Na tych rozległych przestrzeniach ziemi spotyka się zaledwie co 3 albo 4 mile lepianki ludzkie. Ziemia tutejsza jest bardzo tłusta i czarna; kopią ją wielkimi kawałami, kawały te suszą, a wtenczas stają się one twarde i mocne jak kamień, wreszcie

zlepiają je zamiast wapna rozrzedzonem błotem. W ten sposób potrafią tu cały dom wybudować z ziemi. Dachy tylko mają cynkowe, ale nie wszędzie. Z ziemi tej mogą także wyrabiać cegłę, która po wypaleniu z czarnej staje się czerwoną.

Za miarę przestrzeni gruntu służy tu tak zwana *legua*, która obejmuje 5 kilometrów t. j. $^3/_4$ mili wkwadracie. Właściciel, mający tylko jedną *leguę*, uchodzi za najbiedniejszego. Bogatsi miewają po 12 *leguc*, czyli po 8 mil kwadratowych pastwiska każdy.

Przejechawszy 700 kilometrów nietylko nie napotkaliśmy żadnego lasu, ale nawet żadnego drzewa; wciąż tylko sucha trawa i badyle. Chyba gdy się natrafi na jakie mieszkanie ludzkie, to koło niego można zobaczyć kilka nędznych topoli i jakieś drzewo, podobne do naszych sosen. Wiatr jest tu tak silny, że wszędzie do wagonów nasypie pełno piasku. W **Buenos Aires** podobnież tyle było kurzu w mieszkaniach, iż na sprzętach domowych można było pisać palcem.

O godzinie 8ej zjedliśmy śniadanie na jednym z przystanków kolejowych. W południe zjedliśmy obiad także na stacyi, gdyż miasta lub większej jakiej osady nigdzie tam nie napotkasz. Upał był nie do wytrzymania, a do tego w powietrzu latały całe chmury szarańczy, której też do wagonów sporo naleciało.

Na przedostatniej stacyi wysiadł nasz X. Dyrektor, a z nim kleryk CYNALEWSKI, ażeby odwiedzić jednego z tamtejszych Polaków. Reszta ludności składa się z samych tylko Niemców, wychodźców rosyjskich. Są to pierwsze tutaj osady, w których zajmują się rolnictwem. Najwięcej sieją wąsatej pszenicy; owsa i jęczmienia bardzo mało.

Jechaliśmy przeszło 21 godzin i nareszcie stanęliśmy na miejscu w **Bahia Blanca**. Jestto małe miasteczko, mające jeden tylko kościołek, który objęli w swe posiadanie Salezyanie, pobudowawszy naokoło niego mieszkania dla siebie i szkoły dla dzieci. W zakładzie tym jest zarządzający X. dyrektor, 3 księży, 4 kleryków i 2 braci, a ja trzeci.

Jeden z naszych księży wyjeżdża ciągle na misye w te okolice, w których wcale księży niema. Tak n. p. jeden z obszarów, przez który jechaliśmy 6 godzin koleją żelazną posiada tylko jednego księdza. Owóż misyonarz ten, wróciwszy na trzeci dzień po moim przyjeździe do **Bahia**, bardzo się ucieszył zobaczywszy mnie, mówiąc, iż będę mu bardzo pomocnym na misyach. Ma on dwa konie, na jednym sam jeździ, na drugim zaś wozi wszystko, co mu jest potrzebnem do odprawiania Mszy św. X. dyrektor kazał mnie zawołać i zapytał, czy chcę towarzyszyć owemu kapłanowi w podróży i pracy. Na co ja zgodziłem się chętnie i zaraz następnego dnia wyruszyliśmy w drogę.

Jechaliśmy kawał drogi koleją aż do miejsca, gdzie ksiądz ten zostawił był poprzednio konie w domu zajezdnym. Gospodarz domu grzecznie nas powitał i zaprosił na obiad. Obiad ten nie był wprawdzie takim, jaki do tego czasu jadałem, ale cóż było robić? Trzeba było przyzwyczaić się do biedy, a głód jest zawsze najlepszym kucharzem. Gospodarz posłał służącego po nasze konie, które były na paszy, my zaś tymczasem odpoczywaliśmy w cieniu, gdyż był upał zbyt wielki (bo tutaj właśnie są w styczniu żniwa). Około godziny 4tej po południu osiodłaliśmy swe rumaki i pojechaliśmy dalej. Mój koń musiał oprócz mnie nieść dwie skrzynki z ubiorami i naczyniami do Mszy św. Gdybyście mnie byli zobaczyli na koniu z tymi pakami, to powiedzielibyście, że to jakiś cygan jedzie, a dzieciaków to napewne z całej wsi waszej wyległaby cała chmara za nami. Ale w **Ameryce południowej** tak nie jest. Tutaj bez koni ludzie żyćby nie mogli, gdyż nieraz dom od domu oddalony jest o 2 lub 4 mile, to też nikt z jego mieszkańców pieszo nie chodzi. Konie szły nam dobrze, bo były wypoczęły, tylko ptaki swym krzykiem chciały nas odstraszyć, abyśmy im nie przerywali rozkosznej uczty, jaką sobie sprawiały z resztek padłych krów, koni, owiec i t. p. Jechaliśmy trzy godziny po pustym stepie, nareszcie gdy wieczór się zbliżał, napotkaliśmy chałupkę, a przy niej gospodarza, pojącego konie. Wodę tu wydobywają ze studni za pomocą konia i nalewają do obok ustawionych koryt. Jeżeli zaś w pobliżu znajduje się rzeka, to bydło samo szuka sobie wody; nieraz można widzieć, jak całe stada krów, koni i owiec ciągną codzień o tej samej godzinie do rzeki.

Nie znalazłszy w tej pierwszej chałupce dla siebie noclegu, pojechaliśmy dalej i po upływie godziny napotkaliśmy drugie schronisko ludzkie. Gospodarz z żoną bardzo nas mile przyjął, zaprowadził konie do sąsiada, bo nie miał dla nich paszy, a żona jego tymczasem przygotowała wieczerzę. Przyniosła nam najprzód tak zwanej *maté*, której tu używają zamiast naszej herbaty, lecz jest bardzo gorzka. Napój ten zawierał się w naczyniu, podobnem do garnuszka do fajki z uszkiem, do którego się wkłada rurkę z dziurkami na jednym końcu, potem bierze się drugi koniec owej rurki do ust i ssie się jak małe dziecko. Ażem się wzdrygnął biorąc do ręki takie fajczysko, ale widząc, że ksiądz z niego pociąga, chciałem się przezwyciężyć i spróbowałem .... gdzietam, nie mogłem pić.

W izbie aż odór bije od owiec. Ściany wyłożone ziemią, jakby w chlewie, ale przecież znajdowaliśmy się przynajmniej pod dachem, a nie na dworze. Na środku kuchni pali się ogień, obstawiony dokoła kamieniami, ażeby się zanadto nie rozszerzał. Na te kamienie kładą się wpoprzek prątki żelazne, a na nie stawia się garnki z surowemi potrawami. Nasza gospodyni miała tylko dwa garnki, strasznie okopcone. Do okoła tego ogniska leżą 4 kamienie, na których zwykle odpoczywa cała rodzina po pracy.

Pieczeń przyrządzają w następujący sposób: biorą kawał mięsa i nasadzają je na żelazo podobne do szpady, na jednym końcu zaostrzone, potem wpuszczą to wszystko w środek ognia i obracają dopóty, aż się upiecze. Drzewem nie palą, bo go nie mają, tylko nawozem owczym i bydlęcym, a niekiedy nawet kośćmi.

Tak samo i cegłę wypalają owczym gnojem. W tych bowiem miejscach, gdzie owce nocują, nazbiera się tej mierzwy na stopę grubości albo

i więcej, którą następnie rąbią i układają w kopce. Mierzwa ta po wyschnięciu pali się jak siarka.

Jedliśmy tedy na wieczerzę pieczeń. Bułki były zbyt suche, podobne raczej do kamieni; ja nie mogąc swojej ani ugryźć ani ukrajać, nie wiedziałem już co począć, a ksiądz śmiał się tylko ze mnie, potem wziął z rąk moich bułkę, uderzył nią o swoją i natychmiast rozleciała się w kawałki; te kawałki rozmoczyliśmy w herbacie i zjedliśmy. Taka była pierwsza nasza wieczerza.

Ale pytanie teraz, na czem tu spać? Gospodarz przyniósł siennik dla misyonarza, a ja posłałem sobie kołdry z pod siodła, siodło zaś położyłem pod głowę. Przez całą noc nawet półtorej godziny nie spałem, słyszałem prawie każdy szelest, nie mogąc się doczekać rana. W dniu poprzednim widziałem, iż każdy z tych osadników nosi u pasa w tyle nóż i tak już jest doń przyzwyczajony, że bez noża żaden się nigdzie nie ruszy; czasem, zapomniawszy się, i do kościoła z nożem przyjdzie, a taki wprawny w posługiwaniu się nim, iż w okamgnieniu bydlę zabije nie szukając rzeźnika. Otóż napatrzywszy się na nich w dzień. całą noc tylko o tem marzyłem, ażeby nas który nie przebił.

Rano wstawszy przygotowaliśmy ołtarz do Mszy św. Przystąpili też do spowiedzi mąż i żona, którzy już więcej niż 10 lat nie byli w kościele. Było wprawdzie w domu jeszcze dwóch innych chłopów, ale ci nie chcieli ani słyszeć o spowiedzi.

Po południu jechaliśmy dalej. Nagle zachmurzyło się, wicher o mało nas nie pozrzucał z koni i lunął deszcz, tak że dla kurzu i deszczu drogiśmy nie widzieli. Na szczęście nie trwało to długo; wkrótce bowiem napotkaliśmy człowieka, który razem z nami jechał i pokazywał nam drogę. Ujechaliśmy tak więcej niż 4 mile, zanim nareszcie natrafiliśmy na jakąś osadę. Była już noc, gospodarza nie zastaliśmy w domu, a czeladź obchodziła się z nami bardzo sucho i niechętnie. Spaliśmy więc na dworze, jednakże pod dachem, ale tu w miesiącu styczniu noce bywają tak ciepłe jak u nas w żniwa.

Zabudowania były tu ogromne, ale wszystko pozamykane. Lucerny dla koni mieliśmy podostatkiem. Słudzy żyją tu jak wilki w lesie: na Mszę św. wcale nie przyszli. Było na niej tylko trzech murarzy, którzy tam jakiś budynek stawiali; z tych jeden był u spowiedzi św., a drudzy nie chcieli, chociaż już od 15 lat (jak tylko Włochy opuścili) żaden się z nich nie spowiadał. Jeden Włoch, którego napotkaliśmy, 25 lat nie był u spowiedzi św. i pomimo to niechciał do niej przystąpić. Niektórzy nawet od 30 lat nie byli na Mszy św. i mówili, że im wystarczy to, iż są ochrzczeni i że jeszcze wierzą w Pana Boga. Ale życie wiodą gorsze, niż bydło; po większej części żyją z sobą bez ślubów, dzieci mają po 5ro i 6ro w domu niechrzczonych; nie uczą ich wcale pacierza. Widziałem takie, co już miały siedm albo ośm lat, a żadne z nich nie umiało się przeżegnać. O zaprawdę, sto razy lepsi dzicy, niż tacy niby to cywilizowani chrześcijanie, bo ci, nie mając wcale pojęcia o prawdziwym Bogu, łatwiej się do Niego nawracają i życie swoje do prawd wiary zastósowują.

W trzeciem miejscu byliśmy 7 dni u pewnego protestanta, który jest tak wielkim bogaczem, iż ma 40 tysięcy owiec, 15 tysięcy krów, 1,500 koni i 25 par koni cugowych. Ten pan był dosyć dobry dla nas, ale miał przy sobie jakąś kuzynkę, czy przyjaciółkę, wielką złośnicę. Ksiądz jadał z nimi przy stole, a ja ze służącymi, ale jakże mi przykro tam było między lutrami! lepiej mi smakowała pieczeń okopcona swędem duszącym u tamtego biedaka, aniżeli tu porządne jadło podane na czystych talerzach.

Może was to zadziwi, że tam tak długo się zatrzymaliśmy. Otóż w **Ameryce** południowej na **Pampas** (stepach) jest taki zwyczaj, iż każdy właściciel pastwisk obowiązany jest wszystkich bez wyjątku podróżnych przyjąć na nocleg i przez 8 dni dać im jedzenie i izbę do spania darmo, a także paszy dla ich bydła i koni. Komu zaś nie potrzeba tak długo siedzieć, odjedzie sobie prędzej.

Otóż podobnież ów protestant dał nam 3 pokoje do użytku (z których w jednym misyonarz odprawiał teraz Mszę św.) i przyobiecał podarować nam konia. Pierwszego dnia wszyscy byli na Mszy św., zapewne z ciekawości, i dosyć przystojnie się zachowywali, uklękli nawet w czasie podniesienia, ale w następne dni żaden się już więcej nie pokazał.

Na ostatku takeśmy się rozeszli: kucharz i jego żona byli to katolicy i mieli dziecię do chrztu, którego ów protestant chciał być koniecznie chrzestnym ojcem, lecz chciał je podawać wespół ze służącą, także luterką. Miały być również obecne owa kuzynka pańska, jeszcze druga jakaś służąca (katoliczka) i matka dziecięcia. Ksiądz nie mógł przystać na to, ażeby dwoje protestantów trzymało do chrztu dziecię katolickie, lecz chciał, aby przynajmniej pan trzymał ze służącą katoliczką. Ale owe luterki nie chciały się na to zgodzić i z hałasem opuściły naszą kaplicę. Pan się też pogniewał i ostatecznie konia nie dał, chociaż go przedtem był przyobiecał.

Po tym wypadku zaraz wyjechaliśmy do innej okolicy, gdzie są Niemcy, wychodźcy z **Rosyi**, blisko osady **Fornkist**. Wieś ta ma 5 hotelów, a karczem jeszcze więcej. Żyją w niej tacy ludzie którzy o nic nie dbają, jak tylko o nabicie swoich kieszeni pieniędzmi. Gdy do nich ksiądz przyjdzie, to tylko wystawia się na śmiech; są tam wprawdzie pomiędzy nimi niektórzy katolicy, ale ci się wcale do swojej wiary nie przyznawają, ażeby czasem księdzu nie musieli coś dać. Ruscy tam mają swą kaplicę, albo raczej szopę, w której co niedzielę odprawiają modlitwy. Jest w niej ołtarzyk, krzyż, kilka obrazów i parę ławek. Podłoga jest ziemia, a ławki do połowy zarosłe trawą. Tak samo w zakrystyi. Ubiory kościelne są w takiem brzydkiem skrzynczysku i tak przepełnione robakami, że aż brzydko patrzeć. W niedzielę mieliśmy tam odprawić uroczyste nabożeństwo. Cóż było robić? Wziąłem się do pracy, oczyściłem ołtarzyk i zakrystyę, przyszło parę dzieciaków

nam się przyglądać, myślały może, że im będziemy jakie komedye pokazywali, ale tymczasem zapędziliśmy ich do wyrywania trawy i po trzech godzinach aż milej było spojrzeć.

Na noc żaden nas nie chciał przyjąć i musieliśmy jechać do kolonii niemieckiej. Nie są oni tacy dobrzy, jak nam o nich mówiono, że z rozciągniętemi na krzyż rękami modlą się. Nabożeństwo im się podoba i ofiarę zbierają, ale na swoją korzyść. Ta kolonia była dopiero pierwszą od naszego wyjazdu z **Bahia**, a mieszkańcy jej dosyć biedni.

Rozpytywałem się tu wszędzie o Polaków, ale dotychczas znalazłem tylko dwie rodziny: jednę protestancką, drugą zaś katolicką i jednego parobka. W **Sausakorto** są trzy kolonie Niemców z **Rosyi**. Ci właśnie prosili byli X. Biskupa Cagliero o księdza, gdyż niema jedności pomiędzy nimi. Gdyby bowiem było inaczej, to napewno który z księży jużby tam był osiadł.

Sausakorto jest to miasteczko, niedaleko od tych kolonii, ma też swoją kapliczkę, ale bez księdza; nawet drzwi od kaplicy ktoś ukradł, możecie więc sobie wyobrazić, jacy żarliwi katolicy są w tem mieście, iż nawet ozdoby pozdzierali ze ścian swej świątyni.

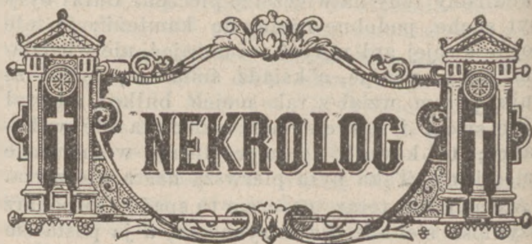
Był tam wprawdzie niedawno temu ksiądz przez półtora roku, ale nie mógł się utrzymać.

To co był ponabywał za swój grosz, później odprzedawał tym Niemcom, a sam wyniósł się gdzieindziej. Ci Niemcy mają maszyny do żniwa i parowe maszyny do młócenia. Gruntu posiada każdy co najmniej 280 mórg, niektórzy z nich mają nawet po 480 do 720 mórg. Zboża każdy namłóci 10 albo 12 tysięcy centnarów, ale ponieważ ono tu bardzo tanie, więc po odtrąceniu kosztów roboty niewiele im się co zostanie. To też nie są oni wcale bogaci; same maszyny kosztują ich ogromne pieniądze, a często im się psują, przytem muszą opłacać wielkie procenta, zatem w ogólności można powiedzieć, iż tylko na panów pracują.

Pozdrawiam Was wszystkich, życząc wszelkiej pomyślności, kochający syn

Jakób Sikora.





ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Bułka Agnieszka, — *Szarlej*, Górny Śląsk.
Czaykowski Jan, Dr., członek austryackiej Izby Panów, właściciel dóbr i t. d., — *Lwów*, Galicya.
Faber Szymon, — *Godullahütte*, Górny Śląsk.
Fredro Marya, hrabina, z hr. Grzymała-Jabłonowskich, właścicielka dóbr, — *Lwów*, Galicya.
Gawlik Józefa, — *Pyskowice*, Górny Śląsk.
Glombitza Paulina, — *Brosławice* „ „
Grabowy Izydor, — *Rokitnica*, „ „
Hachula Karolina, — *Biskupice*, „ „
Janus Hieronim, — *Kochlowice*, „ „
Kandziora Jakób, — *Godullahütte*, „ „
X. Karlewski Juliusz, proboszcz, — *Gr. Lenkendorf*, Prusy wschodnie.
Kloska Bartłomiej, — *Szopinice*, Górny Śląsk.
Korzec Tomasz, — *Brzenskowice*, „ „
Kost Albert, — „ „ „
Kowolik Jan, — *Chropaczów*, „ „
Krause Józef — *Godullahütte*, „ „
Kurka, — *Tożek*, „ „
Moszczeński Władysław, — *Niemczynek*, Wielkie Ks. Poznańskie.
Pawlik Rudolf, — *Rozdzin*, Górny Śląsk.
X. Skwierczyński Marcin, prałat, — *Przemyśl* Galicya.
Smolka Matylda, — *Paruszowice*, Górny Śląsk. (60 marek na Msze św. gregoryańskie).
Strzelczyk Katarzyna, — *Urbanowice*, „ „
X. Szymonowicz Jan, baron, kanonik, prałat domowy Jego Świątobliwości, — *Lwów*, Galicya.
Wróbel Floryan, — *Katowice*, Górny Śląsk.
Wypler Maryanna, — *Miechowice*, „ „
Zdebel Agnieszka, — *Zalenzerhalde*, „ „
Ziob Franciszek, — *Wieszowa*. „ „



Pater, Ave, Requiem.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.